Nr. 6 1 CZERWIEC 1936 R. ROK 58



Juljusz Kossak pinx. 1882 r.

DAWNE POLOWANIE

DO

KAZIMIERZA JABŁONOWSKIEGO)*

PRZEZ

ALEKSANDRA FREDRĘ

Niech piżmem zaprawiony szambelan za drzwiami
Cieszy się zmienną łaską, karmi nadziejami,
Przykuty do szkatuły liczygrosz bogaty
Z procentu lichwiarskiego niech waży dukaty,
Niech się stroją modnisie, kłócą nowiniarze,
Niech krytyk zezem patrząc zawsze na wspak maże,
Niech naśladowców w Polsce zagorzała rzesza
Małpując obce głupstwa gniewa i rozśmiesza,
My Kazimierzu na złe zapomniawszy losy
Wyglądajmy ponówki, lub jesiennej rosy.

Nim do nas zawitały fryzowane głowy,
Ochoczo młodzież polska spieszyła na łowy;
Tamto się nauczyła jak dosiadać konia,
Którego na arkanie przywiedziono z błonia,
Tam się wprawiała celno ze sztućca uderzyć,
Trwożnem okiem przed sobą przepaści nie mierzyć,
Tam znosić niewygody, do pracy się wciągać
Nie bać się deszczów, mrozów i z trudów urągać;
Taka do broni, konia, do niewczasów wprawna
Pogromem nieprzyjaciół była kiedyś sławna.

My, lubo nas dalekie karpackie niedźwiedzie,
Lubo z groźnym odyńcem sporu się nie wiedzie,[1])
Nie dla zyskania chwały, ani też dla wprawy,
Polujmy, w polowaniu szukając zabawy.
Kiedy więc piękny ranek, wiatr milczy w drzewinach,
Wzgórki już czyste, mgła jeszcze w dolinach,

Dalej w pole, dalej w bory!
Bierzcie smycze, bierzcie sfory!
Na koń, na koń dzielna młodzi,
Czas nam drogi, czas uchodzi;
Lecz nim w strzemię włożym nogę
Niechaj flaszka biegnie w koło,
Zakropimy się na drogę
By żyć zdrowo i wesoło.

**) Rzecz drukowana w „Łowcu" 1878 r. Zob. też dzieła Al. hr. Fredry, wydanie zbiorowe, tom XII, Warszawa 1880, str. 9—17. — Kazimierz Grzymała hr. Jabłonowski, właściciel Dubanowic, pow. Rudki, syn Józefa, właściciela Lubienia pod Lwowem. Zmarł w roku 1842. Jego siostra, Zofja, była zamężna najpierw za Stanisławem hr. Skarbkiem, założycielem teatru we Lwowie, a po rozwiedzeniu się z nim wyszła za Aleksandra Fredrę. W. Z.*

[1]) Kazimierz Jabłonowski, jeden z ostatnich wielkich myśliwych w kraju, wtenczas jeszcze nie zaczął polować na grubego zwierza. (Przyp. autora).

Rusza całe myślistwo: Jacek naprzód jedzie,
Harap w ręku, psów gończych sfór dwanaście wiedzie:
Błocisz, pogrom zajęcy, Piskla prima donna,
Stary Tryumf z Fagotem, Dunaj bez ogona
Głośna, Szarga z Pogoniem, Strojna, co [poprawia
Zagraj i Śpiewak, Cymbał, co jak cymbał [zławia,
Szuwar, Drużba i Skrzypek... lecz któż je [spamięta!
W psiarni nazwisk i maści różnica, odmiana
Ale w kniei za zwierzem różnica nieznana;
Wszystkie gonią zawzięcie, zwierz się ich nie zbędzie
Musi zginąć od strzelby albo skostnieć w pędzie.
Za Jackiem szczwacze z chartami na smyczy,
Każdy z nich takie koło konia liczy:
Dekreta, Śliczną, Lotkę i Hultaja
W ręku Olexy jeden rzemień spaja;
Togracz, Urwisz, Kaczaj, Śmiałka,

Są działem Michałka;

Stefanek trzyma Chybkę i Ryzuna;

Jednę, Pliszkę i Pioruna
Mały Iwaś bierze,
Z tyłu Fabian na ogierze.[2])

Strzelba na plecach z daleka połyska,
Krzemień z pod krzesiw żartkie iskry ciska,
Z fajek dym bije, jakby chmura płowa
A podróż skraca wesoła rozmowa.

Otóż i knieja,
W niej nadzieja!

Stańmy trochę tam pod lasem
Kładźmy w strzelby nabój świeży,
Niech jak piorun w cel uderzy;
Jeden prędko niech tymczasem
Porozstawia naszych szczwaczy,
Drugi potem wprzód pobieży
Stanowiska nam wyznaczy.

Od jeziora niech psy zmyka,
Liszka zwykle w trzcinach bywa,
Ale trąbki niech nie tyka,
Cicho podejść zawsze snadnie,
Rusza całe myśliwstwo: Jacek naprzód jedzie,
Bo się liszka przenikliwa
Przed hałasem nie wykradnie.
Już na rozciągłej przestrzeni
W rząd myśliwi rozstawieni,
Każdy podsypkę obziera,
Skałkę ostrzy i obciera,
Suche liście z pod nóg tłoczy
I patyki na bok kładzie
I gąszcz łamie na zawadzie,
By mógł strzelić, tam gdzie zoczy.

Nie spi i liszka — nastawia ucha,
Wstrzęsa się i słucha.

[2]) *Ówczesne myślistwo Kazimierza Jabłonowskiego w Dubanowicach. Fabjan osiemdziesięcioletni strzelec, jak strzelił zawsze się wywrócił. Wlókł się za myślistwem na kulawym ogierze. (Przyp. autora).*

Coś nie żarty, a czas drogi
Dalej w nogi!

Ale ze sfór psy przejęły
Dwakroć wrzasły i szczeknęły;
Węch ich wiedzie, wiedzie wprawa,
Hałas, tartas, łoskot, wrzawa,
Sztuk, huk, trzask, wrzask... grzmi las cały,
Już i strzelby zaryczały.

Padła wkrótce młodzież cała,
Co i śniegu nie poznała,
To na jamach, to przed psami
To w ucieczce przed chartami;
Tak za kaczki, gęsi, kury
Podstradała swoje skóry;

Ale stary łapikura
Kum lisiura
Jeszcze w kniei;
Wie co się święci
Djable się kręci

Ale nie traci nadziei.
Był na jamach, te utkane,
Wrócił do trawy, te zdeptane
I po tropach Cymbał zławia
A więc długo nie zabawia

Puszcza się ku drodze;

Lecz na drodze zbóje siedzą,
Strzelby w ręku patrzą srodze,
Co tu robić? Djabli wiedzą!

Wzdłuż stanowisk gąszczem, trawą
Rusza pod wiatr, wietrzy żwawo
I nareszcie... wytknie... zoczy...

I w bok skoczy.

Drzymał strzelec, lis nie czekał,
Śrót na dębie karb nasiekał

Tu tu tu! na tu na!

Krzyczy strzelec: Na tu na!
I po liściach slabizuje
Czy nie znajdzie szczypty kłaków,
Albo farby choć kropelki;
Ale poznał z wszystkich znaków,
Że jest pudła dowód wszelki;
A więc znowu nawołuje......
Nie krzycz! Nie krzycz! Bo psy gonią,
W kilku miejscach razem gonią...
Przyszła kolej na zające
I zającom teraz dzwonią;
W łozach, nad rzeką, na łące
Na wyścigi strzelby grają...
Ale i psy bankiet mają,
Bo na oko nieraz wzięły,
Potem nagle gdzieś ucięły,
Potem warknął jeden drugi,
Potem w rowie legł jak długi,
Morda, piersi sfarbowane

A boki wypchane.

Już i z południa — odpocząć wypada
Ale zaledwie ściąga się gromada,
Ten i ów oprze strzelbę w dębczakach na boku,
Torbę na piersi przesunie
I jak kłoda na wznak runie.

Ten trąbką wody zaczerpnie z potoka
Tamten po torbie flaszki, ów przekąski szuka,
Ten zaś fajkę wydmuchnie, sięga do kapczuka,
Ledwie ten i ów zagada;
Cicho!... Zagraj lisa goni...
Głosu daje gęsto, żywo;
Jakby siekała chrapliwo
Piskla piszczy, Fagot do niej
Łączy swój bas jak z pod ziemi
I nasz Jacek tuż za niemi.
Czapka w torbie, harap w dłoni
Jak nie krzyknie: „Haszcze ha!
Dalej po nim! Ha, ha, ha!”
Psy się kupią, rzną jak w garnku
A na karku bez ustanku;
O, mój lisie, mój kochanku
Na niedobre się zakrawa,
Coś kuśnierzem trąci sprawa,
Ale... myśl szczęśliwa
Nagle mu przybywa
Wymknąć się w pole
Czyste jamy tam w padole!
Aleź ledwie z miedzy czwartej
Obces w oczy pędzą charty.

O! dla Boga,
Co za trwoga!

A dalejże zmykaj kumie,
Bo żartować chart nie umie...
Kum też zmyka aż się kurzy,
Skacze, kręci, kitą durzy,
Ale charty smyki stare
Lisich figlów znają miarę,
Idą sznurkiem stopa w stopę.
Już po polu, łące, błocie
Dają obrot po obrocie,
Coraz bliżej, bliżej, bliżej,
Aż na grzbiecie włos się jerzy...
I szust przez rów — a lis w rów...
Bywaj zdrów!

Nim chart skręcił, już tymczasem
Lis pod lasem.

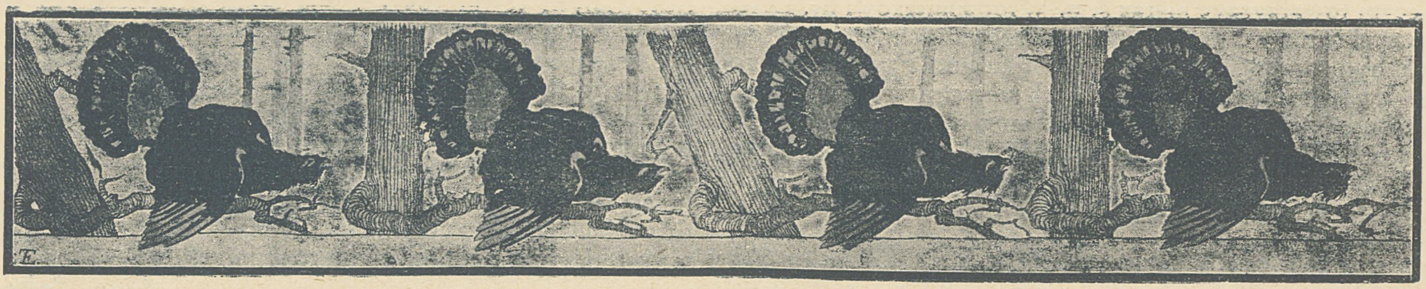
Ledwie w krzaku nowa wojna,
Tam poprawia pierwsza Strojna
A na przełaj Szarga wpada,
Szuwar przejął i odebrał,
Goni płacząc, jakby żebrał,
Przy nim Pogoń się zajada,
Dunaj także, acz głos kradnie
Nie ustąpi aż zwierz padnie.
Grają razem jak organy
A lis lata opętany...
Tu nie dobrze, tu nie ładnie,
Tu szczekuny, tam rusznice,
Trzeba jednak przez granicę,
Gdzie w rząd srogi
Stoją wrogi...
Ginie kto czeka!

Wymuliskiem lis ucieka,
Ale Fabian stary wyga
Z pod krzewiny okiem ściga,
Wziął go na cel... dobrze trzyma...
Błysnął, huknął... już go niema!

Odgłos. „Upadł! Trup! A zasię!”
Nagła cisza po hałasie
I pojezdny powtórzony
Ściąga strzelców z każdej strony,
Każdy niesie swój łup krwawy,
Swe zające do odprawy.
A gdy ów się chwali,
Tamten się żali
Ten zły na psy, ten na siebie...
Kazimierzu, ja do ciebie!
Teraz na koń jednym skokiem,
Zwierzyna w trokach
Strzelby w wytokach.

Powracajmy wolnym krokiem
I uderzmy w głośne rogi,
Niech po górach, niech po lesie
Wieść powrotu odgłos niesie
Aż w domowe nasze progi;
Tam nas czeka stół nakryty,
Nie wykwintny, lecz obfity,
Na kominie sucha kłoda
Zziębłym nieco ciepła doda.
Rozweseli stare wino,
Tak nam dobrze chwile miną,
A gdy legniem na pościeli
Łowy jeszcze grają dziwnie,
Każdy strzela, a co strzeli
To na miejscu!... ani ziewnie!
Każdy wiedzie polowanie,
Każdy siebie tylko słyszy
A niejeden łże Mospanie,
Ale ciszej, coraz ciszej,
Aż nareszcie ogień zgaśnie
I ostatni strzelec zaśnie.

*r. 182**



PRZED LATY



GOSPODARZ KNIEI POTURZYCKIEJ ZE SWYMI GOŚĆMI W R. 1894.

Siedzą: ś. p. Włodzimierz hr. Dzieduszycki, ś. p. Juljusz hr. Tarnowski, ś. p. Stanisław hr. Gołuchowski, ks. Andrzej Lubomirski, Józef Cieński, ś. p. Wincenty Kruszewski, (poza J. Cieńskim częściowo widoczny ś. p. Tadeusz hr. Dzieduszycki). Stoją: ś. p. Wacław Fabiański, ś. p. Aleksander Hulimka, ś. p. Karol Biliński, ś. p. Zdzisław Skrzyński, ś. p. Tadeusz Kownacki, ś. p. Stefan hr. Szembek. Fotografował ś. p. Michał Sozański.

PAMIĘCI ZAŁOŻYCIELA M. T. Ł.

WSZEŚĆDZIESIĘCIOLECIE ISTNIENIA M. T. Ł. nie podobna nie poświęcić wspomnienia ś. p. Włodzimierzowi hr. Dzieduszyckiemu, temu wielkiemu i szlachetnemu obywatelowi i najlepszemu Synowi Ojczyzny.

Był On założycielem i przez pierwszych sześć lat prezesem M. T. Ł., kładąc podwaliny pod jego przyszłość. W uznaniu tych niespożytych zasług na polu łowiectwa i przyrody, zamianowało Go Walne Zgromadzenie M. T. Ł. pierwszym członkiem honorowym. Gdy w 21 lat po założeniu M. T. Ł. umarł Włodzimierz hr. Dzieduszycki, śmierć tego wielkiego Obywatela okryła żałobą kraj cały. Pozostawił po sobie wspaniałą spuściznę w postaci Muzeum przyrodniczego, obejmującego całą faunę i florę ziem polskich. Toteż pamięć tego wielkiego Męża jest dzisiaj jeszcze żywa i przetrwa w najdalsze pokolenia. Piszącemu było dane już we wieku chłopięcym towarzyszyć nieraz ś. p. Włodzimierzowi hr. Dzieduszyckiemu w wyprawach przyrodniczych, których celem było wzbogacenie zbiorów muzeum przyrodniczego we Lwowie. W wyprawach tych uczestniczyli znakomici przyrodnicy jak ś. p. Reman, Łomnicki i Schauer, którzy razem ze ś. p. Założycielem muzeum kładli podwaliny pod wspaniałe jego zbiory.

Każdego roku zjeżdżała się na zimowe polowanie w Poturzycy doborowa drużyna myśliwska przyjaciół ś. p. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, a wśród nich tacy koryfeusze pióra, jak ś. p. Leopold hr. Starzeński, ś. p. Jan Aleksander hr. Fredro, podczas gdy znany z niezrównanego dowcipu ś. p. Stefan Oczosalski zabawiał wszystkich swojemi niewyczerpanemi konceptami.

Tak powstało sławne Album pamiątkowe polowań poturzyckich, które od lat przeszło sześćdziesięciu kreśli wyniki i wydarzenia wszystkich łowów i zawiera prawdziwe skarby niezrównanych nieraz żartów i wierszy ilustrowanych prześlicznymi rysunkami, zwłaszcza ś. p. Leopolda hr. Starzeńskiego.

Tradycja tych pięknych łowów utrzymuje się w trzeciej generacji po dzień dzisiejszy, gdyż obecny ordynat na Poturzycy, jako niezrównany myśliwy i rozmiłowany przyrodnik, snuje dalej tę złotą nić tradycji rodzinnej.

I dzisiaj polowania w Poturzycy nie straciły nic z dawnego swojego uroku i dzisiejsze rozkłady dzików dorównują dawniejszym, a do Albumu poturzyckiego przybywają ciągle nowe kartki z wspaniałymi rozkładami dziczego rodu, tudzież nieraz bardzo dowcipne ilustracje utalentowanych towarzyszy. Mają także dzisiejsze polowania w Poturzycy swoje specjalnie miłe i nieraz zabawne zaproszenia niedościgłego w pomysłach Gospodarza.

Wśród tradycji, z takim pietyzmem pielęgnowanej, pamięć ś. p. Dziada obecnego Ordynata żyje nadal w sercach uczestników polowań poturzyckich, a już najbardziej w sercu piszącego, któremu łaska św. Huberta i pana tej kniei, dozwala już w czwartej generacji ordynackiej rodziny hr. Dzieduszyckich brać udział w łowach i cieszyć się urokiem najmilszych stron rodzinnych.

Adam Sołowij

PAMIĄTKOWY DOKUMENT

1876. 17121. 51.

Wolne od stempla tp. 75 lit. l.



Wysokie Namiestnictwo!

Podpisani założyciele galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego przedstawiają pod A–E w pięciu egzemplarzach statuta tegoż Towarzystwa Wys. Namiestnictwu w myśl § 5. ustawy o stowarzyszeniach, z prośbą przyjęcia do wiadomości.—

A–E

Lwów dnia 30. marca 1876.

Włodzimierz Dzieduszycki

Oswald Seitner

L. ...

Ed. Miciewski

Władysław Ellger

Aleksander Gołuchowski

Bolesław hr. Fredro

Hipolit Laszczyński

Juliusz Bielski

Stanisław Nastrowski

Erazm Wołański

Władysław Tarnowski

Roman Szymanowski

Władysław Sapieha

Szymon ...

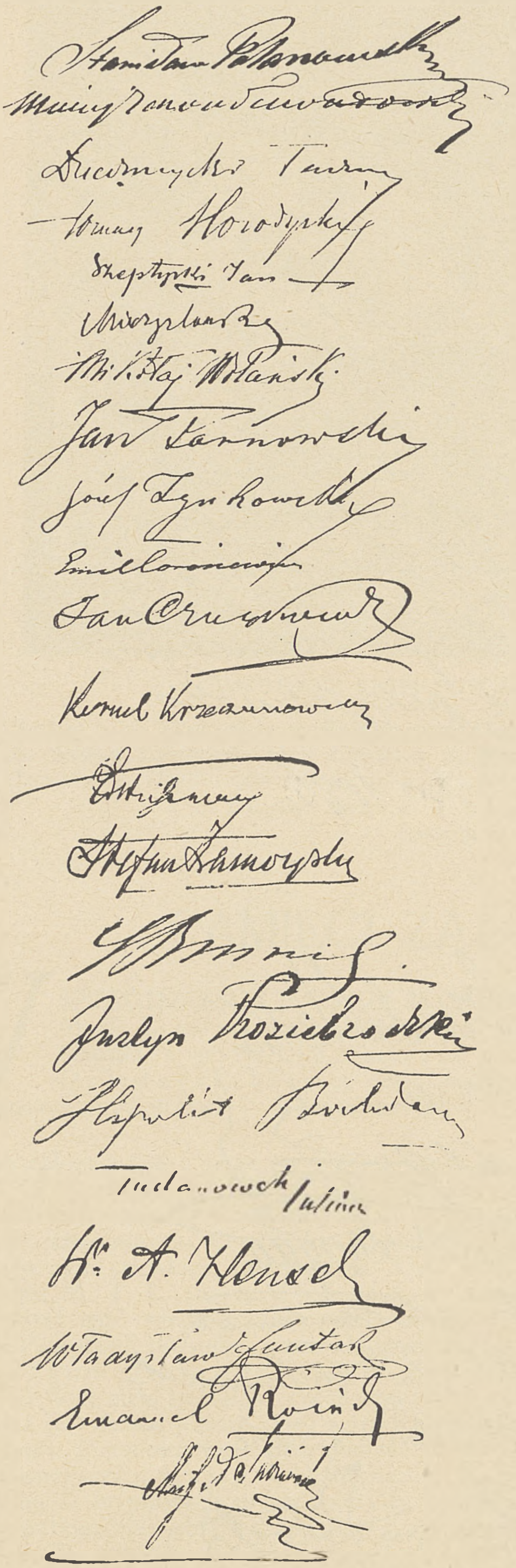
Roman Potocki

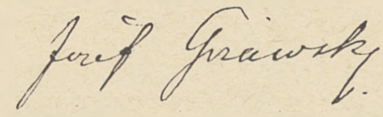
Henryk hr. Wodzicki

Artur Potocki

Dr Janota

... Bratter





Podpisane na powyższem podaniu nazwiska założycieli Towarzystwa łowieckiego we Lwowie, zwanego wówczas Galicyjskiem, dziś, w odrodzonej Polsce, Małopolskiem, są następujące:

Włodzimierz hr. Dzieduszycki,
Karol hr. Mier,
dr. Władysław Rieger,
Edward Xawery hr. Fredro,
Juljusz hr. Bielski,
Erazm Wolański,
Roman Szymanowski,
Zenon Słonecki,
Henryk hr. Wodzicki,
Dr. Eugenjusz Janota,
Dr. Ferdynand Kratter,
Oswald Bartmański,
Edward Micewski,
Agenor hr. Gołuchowski,
Hipolit Łączyński,
Stanisław Matkowski,
Władysław Tustanowski,
Władysław Xżę Sapieha,
Roman hr. Potocki,
Artur hr. Potocki,
Stanisław Polanowski,
Maciej Zenon Serwatowski,
Tadeusz hr. Dzieduszycki,
Tomasz Horodyski,
Jan hr. Szeptycki,
Mieczysław hr. Rey,
Mikołaj Wolański,
Jan hr. Tarnowski,
Józef Tyszkowski,
Emil Torosiewicz,
Jan Czaykowski,
Kornel Krzeczunowicz,
Edward Weissmann,
Stefan hr. Zamoyski,
Seweryn br. Brunicki,
Justyn hr. Koziebrodzki,
Hipolit Bochdan,
Juljusz Tustanowski,
dr. Adam Hensel,
Władysław Zontak,
dr. Emanuel Roiński,
dr. Michał Gnoiński,
Józef Gizowski.

Jako pierwsi podpisali podanie: Włodzimierz hr. Dzieduszycki, główny inicjator i Oswald Bartmański, ówczesny wiceprezydent Namiestnictwa (namiestnikiem był Alfred hr. Potocki).

Pismo wpłynęło do Namiestnictwa dnia 8 kwietnia 1876 r. i zostało tam zaprotokołowane pod L. 17122/876. Zreferowane przez Emila Flechnera, sekretarza Namiestnictwa, znalazło się dnia 20 kwietnia na porządku dziennym sesji, na której stwierdzono zgodność statutu z wymogami ustawy o stowarzyszeniach z dnia 15 listopada 1867 r. i uchwalono zawiązanie się towarzystwa przyjąć do wiadomości. W ślad za tem wyszło z Namiestnictwa pod datą 23 kwietnia 1876 następujące pismo:

„Do c. k. Dyrekcyi Policyi

we Lwowie.

W załączeniu przesyła się dwa egzemplarze statutu zawiązać się mającego we Lwowie Towarzystwa łowieckiego z poleceniem, aby jeden egzemplarz doręczyła założycielom na ręce Hrab. Włodzimierza Dzieduszyckiego z oznajmieniem, że c. k. Namiestnictwo nic nie ma do zarzucenia przeciw zawiązaniu się towarzystwa na podstawie tych statutów, drugi zaś egzemplarz przechowała u siebie, celem wykonywania nadzoru w myśl ustawy z dnia 15 listopada 1867 roku."

Cały ten akt, wraz z podaniem i tekstem pierwszego statutu naszego towarzystwa, znajduje się obecnie w Archiwum państwowem we Lwowie.

Pismo Dyrekcji policji do założycieli zaginęło, a dawne Archiwum policyjne nie istnieje. Wiemy jednak, że Walne zebranie założycieli, zwołane na podstawie zatwierdzonego statutu, odbyło się już 24 kwietnia i że na tem zebraniu wybrany był pierwszy zarząd, w składzie następującym: Prezes Włodzimierz hr. Dzieduszycki, wiceprezes Oswald Bartmański, członkowie wydziału: Roman hr. Potocki, Stefan hr. Zamoyski, dr. Ferdynand Kratter, Władysław Zontak, Artur hr. Potocki, dr. Adam Hensel, dr. Zygmunt Rieger, Edward Weissmann, dr. Emanuel Roiński, Józef hr. Drohojowski, Karol hr. Mier; (zob. „Łowiec" rocznik I, 1878, str. 3: Sprawozdanie z czynności Gal. Towarzystwa łowieckiego od dn. 16 marca 1876 do końca grudnia 1877).

Ponieważ podanie z dnia 30 marca 1876 jest pierwszym pisanym aktem zrzeszonych w naszem Towarzystwie myśliwych, aktem dotychczas nigdzie nie utrwalonym i nie wspomnianym, przeto uważałem za pożyteczne cenną tę pamiątkę wydobyć na światło dzienne i opublikować w 60 rocznicę założenia Towarzystwa.

Witołd Ziembicki

ALFRED SANDER

W DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

UPAMIĘTNIĆ DZIEJE ostatnich dziesięciu lat Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego nie uważam za pracę zbyt łatwą, mimo, że temat nie jest mi obcy, choćby dlatego, że doroczne sprawozdania z czynności Wydziału z ostatnich lat kilkunastu były przezemnie pisane, a sprawozdania takie nie są czemś innem, jak rozkawałkowaną na części historją Towarzystwa.

Nie będzie mi bowiem z pewnością danem dorównać ś. p. Sewerynowi Krogulskiemu, w swadzie, z jaką p. t. „Pół wieku" spisał dzieje Towarzystwa po rok 1926, a powtóre kusić się o to nawet nie mogę, gdyż zakreślone mi szczupłe ramy pracy, mającej się w całości zmieścić w niniejszym zeszycie „Łowca", sprawią, że będę musiał rzecz traktować szkicowo, uwydatniając tylko fakta najważniejsze, a raczej te, które mi się takimi wydadzą. — Przez to może pominę jakiś fakt, któryby kto inny był właśnie przedewszystkiem podniósł, a może dla braku miejsca lub przez przeoczenie, pominę czyjąś zasługę. — Proszę w tym względzie już zgóry o wyrozumiałość.

Incipiam!

Walne Zgromadzenie w roku jubileuszowym 1926-ym pozostawia dalsze rządy Towarzystwa Wydziałowi w następującym składzie: Prezes: Juljusz hr. Bielski, wiceprezesi: Cyryl Czarkowski-Golejewski, Albert Mniszek i Alfred Sander, członkowie Wydziału: inż. Kazimierz Drapella, inż. Adam Ebenberger, Władysław Garapich, Tomisław Jędrzejowicz, Witołd Kwiatkowski, Dr. Aleksander Małaczyński, gen. Walery Maryański, Edward Münter, Stanisław Pieńczykowski, Henryk Prek, Aleksander Ulm i Dr. Witołd Ziembicki; zastępcy: Stanisław Kiełczewski, gen. Franciszek hr. Crivelli Meraviglia, Dr. Franciszek Piechowski, Dr. Jerzy Rosienkiewicz i Dr. Izydor Śnieszek.

Zaznaczam, że dla braku miejsca, nie będę mógł w dalszym ciągu cytować składu każdorocznego Wydziału, będę podawał te tylko zmiany osobiste, które na losach Towarzystwa niewątpliwie zaważyły, a najczęściej tylko straty, jakie Towarzystwo poniosło przez śmierć wybitnych członków Wydziału, na stanowisku zgasłych. Skład każdoczesnego Wydziału znajdą ciekawi w dorocznych sprawozdaniach z czynności Wydz. drukowanych w „Łowcu".

Wśród uroczystości, jakie uświetniły obchodzony w r. 1926 jubileusz 50-letni Towarzystwa, brakło tylko jeszcze wystawy łowieckiej. Urządzono ją dopiero w lecie r. 1927. Pod względem finansowym nie była to impreza Towarzystwa, gdyż pod nazwą „I. Wystawy Sportowej we Lwowie", finansowały ją Targi Wschodnie, była jednak naszą w całej pełni pod względem rzeczowym. Urządzona bowiem została staraniem i pracą Wydziału naszego Towarzystwa, działającego przez wyłoniony Komitet pod przewodnictwem Alberta Mniszka. Otwarcia wystawy dokonał ówczesny minister spraw wewnętrznych gen. Składkowski, a pełne entuzjazmu i serdeczne przemówienie ja-

kie przy tej sposobności wygłosił był pułk. Konstanty Chłapowski, prezes Wielkopolskiego Związku Myśliwych, było dla nas pełną satysfakcją za ataki, jakich byliśmy celem przedtem z pewnej, rzekomo wówczas autorytatywnej strony, skąd wprost wzywano myślistwo polskie do bojkotowania tej naszej wystawy, pod pozorem konieczności zachowania sił i środków na gotującą się na rok 1929 wystawę łowiecką na P. W. K. w Poznaniu.

Nie sposób wymienić w tem miejscu wspaniałych eksponatów, jakie się na tej wystawie pojawiły. Nie można nawet wymienić ich niewiele, bo zachodziłaby zawsze obawa niezasłużonego pominięcia innych, równie wzmianki godnych, a w rezultacie ten ustęp naszej historji musiałby się rozszerzyć do ram artykułu A. Mniszka, drukowanego w Nrach 8 i 9 „Łowca" z r. 1927, do którego czytelników odsyłam.

Pominąć też nie można, że wystawa ta objęła również pierwszą w Polsce wystawę książki łowieckiej, co nastąpiło staraniem W. Ziembickiego, który też opracował szczegółowy katalog tego działu wystawy.

W tym też roku, a czasowo od wystawy znacznie wcześniej, bo 27 lutego, odbył się zwołany przez nas wiec myśliwych, w sprawie uciążliwego podatku od broni myśliwskiej i w sprawie obmyślenia środków walki z kłusownictwem i wnykarstwem. Wiecowi temu raczył przewodniczyć ówczesny Prezes lwowskiego Sądu apelacyjnego Dr. Adolf Czerwiński, który, jakkolwiek sam niemyśliwy, odnosił się zawsze nader przychylnie do myślistwa, a wkrótce po owem zebraniu, wydał okólnik do podległych mu sądów, gdzie zwrócił uwagę na konieczność poważnego traktowania przestępstw przeciw własności gospodarstwa łowieckiego.

W owym też roku uzupełniono urządzenie kaplicy św. Huberta w kościele św. Elżbiety, dodając jej piękny witraż i ścieląc na stopnie ołtarza kilim z emblematami Towarzystwa. Równocześnie Towarzystwo lisowickie ufundowało dla tego ołtarza stylowe lichtarze. Tak więc w tym roku ołtarz względnie kaplica, zostały ostatecznie ukończone kosztem 18.587 złotych.

Na Walnem Zgromadzeniu 28 czerwca przyjęto jednogłośnie wniosek Wydziału na taką zmianę statutu, któraby umożliwiła powstałemu przed kilku laty Zachodnio-Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu w Krakowie połączyć się z nami w charakterze autonomicznego Oddziału Towarzystwa. Ta sprawa, mimo dobrej woli obu stron, doznała definitywnego szczęśliwego rozwiązania dopiero w dwa lata później.

Wtedy też powzięto myśl stworzenia odznaki honorowej dla członków straży łowieckiej i dla członków policji państwowej, zasłużonych w walce z kłusownictwem, a Wydział Towarzystwa w latach następnych ustanowienie takiej odznaki i jej rozdawanie rzeczywiście w czyn wprowadził.

W urządzonych przez Targi Wschodnie Międzynarodowych zawodach strzeleckich, na które jednak strzelcy cudzoziemscy z różnych powodów przybyć nie mogli, wzięli nasi członkowie dość liczny udział, zdobywając szczególnie w myśliwskich strzelaniach kulą, czołowe kwalifikacje.

U schyłku tego, w nader ważne wypadki dla naszego łowiectwa płodnego, roku, ukazał się dekret Prezydenta R. P. o prawie łowieckiem.

Nie zapoznając wysokich walorów tego aktu ustawodawczego w odrodzonej Ojczyźnie, myślistwo małopolskie spostrzegło jednak odrazu, że na tutejszym terenie, w stosunku do obowiązującej tu do tej chwili ustawy łowieckiej, uchwalonej przez sejm krajowy w r. 1909, to nowe prawo jest raczej cofnięciem się wstecz. Wyrazem tego przekonania były liczne do nas zwrócone korespondencje, a następnie artykuły omawiające krytycznie nowe prawo łowieckie. Wydział naszego Towarzystwa przyłączył się do tej ogólnej opinji, wygotował obszerny memorjał, domagający się koniecznych zmian i przesłał go Centralnemu Związkowi, który jednak potrzeby natychmiastowych poprawek w tym akcie legislacyjnym wówczas chwilowo nie uznawał, a nawet uważał, że takie stawianie kwestji, może sprawom łowieckim zaszkodzić. Mówię „chwilowo", bo już w kilka lat później Związek sam rozpoczął starania o nowelizację dekretu i opracowywał kilkakrotnie projekty nowelizacyjne, zapraszając do współpracy w odnośnych swych komisjach przedstawicieli towarzystw regjonalnych z całej Polski. Niestety z różnych przyczyn ta praca łowiectwa polskiego dotąd realnych rezultatów nie przyniosła. Sprawa ta była też osią obrad naszego Walnego Zgromadzenia w r. 1928, kiedyto ś. p. Kazimierz Wysocki, doskonały znawca prawa łowieckiego i wogóle administracyjnego, wyczerpująco skrytykował nowe łowieckie prawo polskie.

Od tego też r. 1928 jako dla naszego organu prasowego jubileuszowego, wydawaliśmy „Łowca" dwa razy na miesiąc, co mimo późniejszych trudności finansowych utrzymało się przez kilka lat następnych.

W czasie dorocznego Zjazdu w tymże roku, odbyło się w dniach 22 i 23 czerwca tradycyjne strzelanie premjowe Towarzystwa. Zdobyli w niem miejsca i piękne nagrody: kpt. Borzemski, Henryk Haszlakiewicz, Tadeusz Biedermann, Andrzej Jakubowicz, Stanisław Pieńczykowski, Aleksander Ostrowski, Antoni Papara, Stanisław Zawidowski, Michał Garapich, Eustachy i Tadeusz Barańscy, Jan Gołębski, Zbigniew Sander, Michał Krasnopolski, Albert Mniszek i Jan Drohojowski, który ostatni wziął wtedy pięć nagród, zdobył definitywnie nagrodę mistrzowską fundowaną przez Marjana Jaroszyńskiego, a nadto uzyskał prawo umieszczenia swego nazwiska na jednym z listków srebrnego kosza na kwiaty, stanowiącego nagrodę przechodnią, fundowaną przez Arcyksiążąt z Żywca, której do dnia dzisiejszego nikt na stałe nie zdobył.

Ostra zima 1928/29 odbiła się echem w rozporządzeniach Panów Wojewodów, którzy rozszerzyli czasy ochronne dla gatunków zwierzyny klęską dotkniętych. Do tej akcji przyłączyliśmy się bezzwłocznie, zamieszczając w „Łowcu" apele Wydziału Towarzystwa, aby w sezonach najbliższych tylko bardzo oględnie polować. — Dzięki tej akcji i wstrzemięźliwości małopolskiego myślistwa, zwierzostany tutejsze w niewielu latach wróciły do poziomu normalnego, a później go nawet znacznie przewyższyły.

Walne Zgromadzenie z r. 1929 uczciło jubileusz 25-letniej pracy redaktorskiej Alberta Mniszka. Komitet, który

w tym celu był się zawiązał, ofiarował mu wówczas w upominku złote pióro.

W tym roku właśnie dopiero została definitywnie załatwiona sprawa utworzenia Oddziału Towarzystwa w Krakowie. Poprzednio bowiem natrafiała ona na trudności z powodu stanowiska Urzędu wojewódzkiego w Krakowie, który dla takiego Oddziału żądał był przedłożenia osobnego statutu. Dopiero po wygraniu wniesionego w tej sprawie odwołania, mógł oddział krakowski w całej pełni zacząć funkcjonować na podstawie umowy zawartej z centralą Towarzystwa, w kwestji rozdziału wkładek płynących od osób zamieszkałych na terenie województwa krakowskiego.

Towarzystwo wydało w tym roku „Wspomnienia z życia łowieckiego“ i „Słonkę“, ś. p. Kazimierza Wodzickiego, tego niespożytej sławy autora łowieckiego.

W dniach 21 i 23 czerwca odbyło się znowu premjowe strzelanie Towarzystwa, po raz ostatni, jak dotąd, przy zachowaniu wszystkich rodzajów strzelań przekazanych tradycją. Mistrzostwo na rok 1929/30 zdobywa wtedy Andrzej Jakubowicz, a Stanisław Jaśkiewicz prawo umieszczenia swego nazwiska na nagrodzie „Żywca“. — Inne wyniki mogą ciekawi czytelnicy odszukać w „Łowcu“ z r. 1929 w umieszczonem tam sprawozdaniu. — W dniach 12—15 września odbyły się też zawody zorganizowane przez Z. A. „Pocisk“, gdzie prestiż Towarzystwa w strzelaniach do rzutków podtrzymali Eustachy i Tadeusz Barańscy.

W r. 1930 zawody Towarzystwa nie odbyły się wcale, natomiast kilku naszych wybitnych strzelców wzięło chlubny udział w Narodowych zawodach strzeleckich odbytych w dniach od 30 sierpnia do 6 września.

Już przy końcu tego roku wpływ wkładek członków tak się skurczył, że Wydział na posiedzeniu z 12 grudnia zastanawiał się poważnie nad pytaniem, czy można nadal wydawać „Łowca“ dwa razy w miesiącu. Postanowiono jednak nadal utrzymać dwurazowy nakład, aby nie tracić kontaktu z członkami.

W r. 1931 następuje zmiana w składzie Prezydjum Towarzystwa, gdyż wobec rezygnacji wiceprezesa Cyryla Czarkowskiego-Golejewskiego, Walne Zgromadzenie z 12 września, powierza godność jednego z wiceprezesów Wojciechowi hr. Gołuchowskiemu.

W tymże roku 1931-ym odbyły się we Lwowie w lipcu znowu Narodowe zawody strzeleckie, a we wrześniu XXVIII Międzynarodowe zawody. W zawodach tych nie tyle udział w nich naszych czołowych strzelców, choć i ten był niepośledni, lecz zajęcie się naszego Towarzystwa organizacją ich działu myśliwskiego, było wyczynem, który dobitnie zaświadczył, że Towarzystwo nasze umie spełnić z chlubą wzięte na siebie trudne zadanie i że jest dbałe o honor polskiego myślistwa i strzelectwa.

W spełnieniu tego zadania znalazło Towarzystwo w osobie ś. p. inż. Adama Ebenbergera, długoletniego członka Wydziału, światłego a gorliwego organizatora. On to z całem poświęceniem oddał swą pracę i swe fachowe wiadomości tak dla urządzenia strzelnicy wojskowej na Kleparowie, jak i dla urządzenia na modłę europejską standów do strzelania do rzutków na błoniach Janowskich, jak wreszcie dla takiego zorganizowania tych działów podczas samych zawodów, iż strzelectwo polskie nie ze wstydem, ale z wielką chlubą z tej imprezy wyszło. Było nam danem wielokrotnie słyszeć w czasie tych zawodów, wyrazy pochwały i zadowolenia z ust gości zagranicznych, do takich pochwał niezbyt skorych, choćby dlatego, że byli między nimi i tacy, którzy wprzód nim do Lwowa przybyli, zwiedzili byli strzelnice i standy prawie całej Europy.

Niewielu tylko członków Wydziału było w możności, wobec swych zajęć zawodowych, skuteczniej ś. p. Ebenbergerowi dopomagać w pracy, którą zresztą trzeba było przedsiębrać w miesiącach t. zw. „wakacyjnych“, kiedy mało członków Wydziału jest w mieście.

Zasługi ś. p. Ebenbergera doznały uznania i ze strony Państwa, gdyż za tę właśnie sprawę odznaczony został złotym krzyżem zasługi, ale niestety już po śmierci, gdyż straciliśmy go niespodziewanie już w lutym roku następnego.

W tym samym roku 1932, w dniu 22 lutego, zmarł gen. Józef de Stiller, prezes krakowskiego Oddziału naszego Towarzystwa. Wysokiej lojalności ś. p. Stillera zawdzięcza małopolskie myślistwo utrzymanie wspólnego frontu pod egidą M. T. Ł. Następcą w prezesurze Oddziału został Adam hr. Starzeński, niemniej żarliwy zwolennik utrzymania tutejszego myślistwa pod jednym sztandarem. Hr. Starzeński sprawuje rządy Oddziału po dziś dzień, przy wybitnej współpracy wiceprezesa Dr. Adama Lardemera. Obaj ci Panowie idą w dobrej i złej doli ramię w ramię z centralą Towarzystwa.

Z początkiem r. 1932 Prezes naszego Towarzystwa hr. Bielski złożył piastowaną przez 9 lat godność Prezesa Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie. Przy tej sposobności został On jako pierwszy w Polsce, zaszczycony godnością Członka honorowego Związku. — Wydział M. T. Ł. ze swej strony uczcił zasługi swego Prezesa serdeczną manifestacją na posiedzeniu w dniu 20 kwietnia, ofiarując mu wtedy odznakę Towarzystwa (kozicę) wykonaną w złocie.

Przy urządzonej w tym roku w dniach 26 i 27 czerwca z inicjatywy Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego wystawie psów rasowych, została też urządzoną z inicjatywy i pracą członka naszego Wydziału Witołda Ziembickiego pierwsza w Polsce wystawa książki kynologicznej. Trwałą pamiątką po tej wystawie jest również pierwszy w swoim rodzaju w naszej literaturze katalog szczegółowy.

Pogłębiający się ustawicznie kryzys i pochodząca z niego ciasnota pieniężna, powodują coraz to gorszy wpływ wkładek od członków, a wskutek tego niedobory budżetowe. Sprawa ta odbiła się echem na Walnem Zgromadzeniu r. 1932, które na wniosek prof. Adama Sołowija usiłuje jej zaradzić przez ponowne wprowadzenie daniny myśliwskiej. Akcja ta zdołała tylko chwilowo zrównoważyć finanse Towarzystwa, bo wobec ekonomicznego położenia w Państwie objęła, odmiennie jak w r. 1922, tylko sfery najzamożniejsze, podczas gdy szerokie rzesze myśliwskie pozostały na ten apel głuchemi.

Wspomnieliśmy wyżej, że myśl nowelizacji prawa łowieckiego nurtowała ciągle w społeczeństwie myśliwskiem i że Związek wyłaniał ze siebie Komisje, które bądź same bądź przy współudziale reprezentantów towarzystw regjonalnych opracowywały projekta nowelizacyjne. Komisja

taka obradowała mianowicie także w jesieni w roku 1931 a na jej posiedzeniach Małop. Towarzystwo Łowieckie było reprezentowane przez członków Wydziału Marjana Chrzanowskiego, Aleksandra Ulma i piszącego te słowa. Na szerszą jednak skalę zakrojono tę pracę w r. 1933. Przysłany nam wtedy materjał nowelizacyjny, dotykający nieomal każdego postanowienia dekretu o prawie łowieckiem z r. 1927 a zawierający nadto organizację myśliwską w Polsce, która miała się w ten sposób stać integralną częścią ustawy łowieckiej, został poddany wyczerpującym obradom komisji przez nasz Wydział wybranej. Komisja ta sporządziła obszerny a szczegółowy referat i przesłała go Związkowi. Sprawa ta odbiła się też głośnem echem na Walnem Zgromadzeniu naszego Towarzystwa w dniu 5 czerwca, gdzie piszący te słowa przedstawił zgromadzonym szczegółowe zmiany, jakieby zajść miały w prawie łowieckiem w ściślejszem tego słowa znaczeniu, zaś ś. p. Dr. Aleksander Małaczyński, znakomity znawca prawa administracyjnego i doświadczony w sprawach organizacji Związków i Towarzystw, omówił w obszernym referacie projekt Związku, dotyczący organizacji myślistwa w Polsce. W dyskusji jaka się rozwinęła na tle referatu Dr. Małaczyńskiego zabierało głos wielu mowców, a zabrał go dwukrotnie też obecny na Zgromadzeniu gen. Kazimierz Fabrycy, wiceprezes Związku. Wywiązała się w ten sposób nawet żywa lecz w najwykwintniejszej formie utrzymana polemika, która nie zdołała jednak usunąć dość dużych różnic zapatrywań na tę sprawę, jakie zachodziły między Związkiem, a nami.

Już 10 czerwca zasiedli znowu wysłannicy nasi w osobach Marjana Chrzanowskiego, Dr. Adama Lardemera i podpisanego przy stole obrad w Polskim Związku w Warszawie. W obradach nad samą ustawą łowiecką w dniach 10 i 11 czerwca zdołano mniej więcej uzgodnić zapatrywania różnych okolic Polski, przyczem wysunięte przez nas postulaty, zostały w znacznej mierze uwzględnione. Nie utrzymała się natomiast nasza koncepcja oparcia Związku nadal na regjonalnych Towarzystwach, przy równoczesnem wprowadzeniu przymusu przynależności każdego chcącego polować do zorganizowanego myślistwa. Na obradach odbytych w tej sprawie w dniu 12 czerwca wieczorem, musieliśmy ustąpić z zajmowanego stanowiska, wobec oświadczenia gen. Sosnkowskiego, Prezesa Zw., że za przeprowadzeniem takiej koncepcji zabiegów nie będzie czynił, gdyż nie zgodzą się na nią czynniki rządowe, gdy natomiast koncepcja, by każdy myśliwy polski musiał należeć wprost do Związku i by wkładki doń wprost płynęły, ma wszelkie widoki możności przeprowadzenia i powodzenia. W obradach nad statutem Związku, mającego swą bezpośrednią działalność rozciągnąć na cały obszar Państwa, zastępował nasze Towarzystwo członek Wydziału Aleksander Ulm. Obrady w tym kierunku rozpoczęły się już w lipcu 1933, a projekt statutu przeszedłszy przez obrady Komisji i Zarządu głównego, a w roku 1935-ym przez zaopinjowanie przez Towarzystwa regjonalne, którym w tym celu udzielony został, jest obecnie gotowy i ma być przedmiotem obrad Walnego zgromadzenia Związku w dniu 24 b. m.

Przy końcu r. 1932 zostało wydane rozporządzenie Ministra rolnictwa i reform rolnych, którem zezwolono na strzelanie łań i kóz w latach 1933 i 1934 w okresach czasu od 16 stycznia do 15 lutego. Już z końcem stycznia otrzymaliśmy od naszych delegatów i innych o dobro łowieckie dbałych członków naszych, alarmujące wieści, że falangi pseudo-myśliwych pojęły powyższe rozporządzenie jako wolność czynienia hekatomb w rodzie sarnim, przyczem się nie liczą nawet ze względami sąsiedzkimi. Dlatego podjęliśmy natychmiast starania o cofnięcie tego rozporządzenia, co nastąpiło rzeczywiście z początkiem stycznia 1934, tuż przed nowym okresem takiego dowolnego odstrzału.

Doroczny Zjazd Łowiecki w r. 1933 został urozmaicony premjowem strzelaniem i wystawą psów. Premjowe strzelanie ograniczono wtedy do strzelania kulą do celów ruchomych i do strzelania do rzutków. Udział strzelców w tem jak dotąd ostatniem, a ograniczonem strzelaniu Towarzystwa, był nader skromny, skoro do strzelania do dzika stanęło zaledwie 8 zawodników. Przypisać to należy oczywiście kryzysowi i apatji, jaka ogarnęła szczególnie koła ziemiańskie, walczące z ciężkiemi warunkami pracy na roli. Nowością w tych zawodach było strzelanie do zająca w biegu, z broni małokalibrowej. Za najlepszego strzelca dnia uznano wówczas Stanisława Jaśkiewicza, który z tego tytułu prócz kilku nagród indywidualnych, wziął też piękny zegar z daru Tow. Zachęty Chowu Koni.

Trwająca od 3 do 5 czerwca ogólno-polska wystawa psów, była w wyższym stopniu niż zeszłoroczna, imprezą M. T. Ł. Wystawa ta zgromadziła liczne wartościowe okazy psów ras myśliwskich i innych, a że była pod tym względem przedsięwzięciem zupełnie udałem, należy zawdzięczyć pracy członków Wydziału Aleksandra Ulma i inż. Tadeusza Sroczyńskiego.

W dniu 5 grudnia 1933 umiera Seweryn Krogulski, Członek honorowy Towarzystwa, który był przez szereg lat jego wiceprezesem, przez czas wojny redaktorem „Łowca“, a wreszcie wiernym kronikarzem Towarzystwa, przez napisanie o niem obszernej pracy p. t. „Pół wieku“.

Niedługo potem, bo już w styczniu 1934 tracimy Władysława Wesołowskiego, długoletniego członka Towarzystwa i sumiennego kierownika naszego biura, a 25 lutego długoletniego członka Wydziału Dr. Aleksandra Małaczyńskiego, jednego z tych, co przez długie lata świecili nam przykładem poczucia obowiązku, co nas wspierali radą, słowem i czynem.

Obrady Międzynarodowej Rady łowieckiej odbyte w dniach 19, 20 i 21 kwietnia w Warszawie i połączone z tym Zjazdem czołowych łowców całego świata uroczystości — odbiły się słabem tylko echem w naszem Towarzystwie i w naszym organie prasowym. W obradach tych wziął udział nasz Prezes hr. Bielski, tej międzynarodowej instytucji wiceprezes i Adam hr. Starzeński, jako jeden z delegatów P. R. O. P. Niemniej ucieszyła nas wiadomość, że ta ważna dla prestiżu Państwa i łowiectwa polskiego sprawa, wypadła z chlubą dla ojczystego łowiectwa.

Małym był też udział małopolskiego myślistwa w III Pokazie trofeów w Warszawie, w dniach od 14 IV do 3 V. I tu przyczyny trzeba znowu szukać w ciężkich stosunkach pieniężnych, powodujących obojętność dla spraw łowieckich.

Wspomniany wyżej słaby udział strzelców w strzelaniach w r. 1933 przekonał nas, że strzelania tradycyjne

Towarzystwa straciły przynajmniej chwilowo rację bytu, gdyż wymagają znaczniejszego nakładu kosztów ze strony Towarzystwa i pięknych nagród, a nie mogą liczyć na uczestników z prowincji, nie chcących, czy też nie mogących ponosić kosztów przyjazdu do Lwowa i pobytu tutaj. Mimo to chcieliśmy podtrzymać tradycję strzelecką Towarzystwa. Dlatego podjęliśmy myśl rzuconą przez członka naszego i delegata ppułk. Kazimierza Jackowskiego, urządzania trójboju myśliwskiego wszędzie tam, gdzie na to pozwolą warunki miejscowe i gdziebyśmy mogli być przez naszych delegatów lub członków należycie zastąpieni, tak w sprawie urządzenia samych zawodów jak i w kwestji sumiennego ocenienia ich wyników.

Oczywiście także siedziba Towarzystwa nie miała być w tej nowej formie rozgrywek pominiętą, bo liczyliśmy na udział licznie we Lwowie zamieszkałych naszych członków, a dobrych strzelców. Pierwsze takie zawody mające objąć strzały do lisa i dzika w biegu i strzelanie do rzutków, miały się odbyć, a nawet rzeczywiście się odbyły w dniu 17 czerwca, w czasie Zjazdu łowieckiego, na strzelnicy wojskowej na Kleparowie. — Otrzymana jednak w ostatniej chwili wiadomość, że wszelkie strzelania o mistrzostwo, mogą się odbywać tylko pod egidą już do tego upoważnionych organizacyj strzeleckich nastroiła i wtedy zebranych na strzelnicy na ton minorowy i zniechęciła inicjatorów, zwłaszcza, że na nasze pismo, wystosowane w tej sprawie do Polskiego Związku, gdzieśmy proponowali odpowiednie zmodyfikowanie statutu takich strzelań i prosili o orędowanie tej sprawy w Naczelnej Radzie strzelectwa w Polsce, nie otrzymaliśmy po dziś dzień żadnej odpowiedzi.

Nie brakło jednak naszym strzelcom sposobności wykazania swej sprawności strzeleckiej i w tym jeszcze roku powtórnie, bo w dniach 6 i 7 października wzięli dość liczny, a chlubny udział w zawodach myśliwskich i łuczniczych, urządzanych przez Komitet, do którego wspólnie z nami, weszły różne Związki i Towarzystwa ze strzelectwem w kontakcie pozostające.

Na Walnem zgromadzeniu w dniu 17 czerwca, wywołały ożywioną dyskusję wnioski, jakie Sekcja naukowa oddziału poznańskiego, Związku Zawodowego leśników przesłała była Państwowej Radzie Ochrony Przyrody w sprawie ochrony dzików. We wnioskach tych żądano sześciomiesięcznej ochrony dla dzików, zabronienia polowania na nie w obwodach mniejszych niż 250 ha i zabronienia strzelania ich między zachodem, a wchodem słońca. Jakkolwiek te postulaty Związku leśników były nam bardzo sympatyczne ze stanowiska czysto myśliwskiego, to jednak już wówczas podnoszono głosy ostrzegające przed zbyt daleko idącą ochroną zwierza, którego silniejsza rozmnoża wywołuje protesty ze strony rolników i usposabia te koła nieprzyjaźnie dla łowiectwa. Wiadomo czytelnikom „Łowca“, że ta sprawa dzicza była i w b. r. przedmiotem dyskusji na posiedzeniu Wydziału Towarzystwa i żeśmy w niej zajęli stanowisko lojalne i duchem obywatelskim podyktowane.

Wybrana jeszcze z początkiem roku tego „komisja oszczędnościowa“ przeciągnęła swe urzędowanie, wśród zmian osobowych, do początku r. 1935. Komisja ta wywiązała się ze zadania na nią włożonego, poczyniwszy w administracji Towarzystwa i „Łowca“ najdalej idące oszczędności, a zainicjowała nadto zwołanie Zjazdu Delegatów Towarzystwa, dla narad nad dalszemi jego losami.

Zjazd ten odbył się rzeczywiście w dniu 2 lutego 1935, a był imponujący nietylko liczbą Delegatów przybyłych z odległych nawet powiatów, ale przedewszystkiem powagą Osób zgromadzonych i powagą odbytych obrad. Zebranie oświadczyło się jednomyślnie za utrzymaniem Towarzystwa i jego organu prasowego i za oparciem Towarzystwa i jego finansów na działalności Kolegjów delegackich, należycie zorganizowanych. Rzeczywiście już w parę tygodni po Zjeździe, otrzymaliśmy raporty o utworzeniu takich zorganizowanych delegatur, a najwcześniej w Rawie ruskiej, dzięki zabiegom ś. p. Kazimierza Wysockiego.

Tego sędziwego, a wypróbowanego przyjaciela Towarzystwa, tracimy jednak już w jesieni tego roku, ale skutki Jego do ostatnich dni życia prowadzonej działalności dotąd nie przeminęły.

Gdybyśmy bowiem pominęli nawet Jego zasługę jako organizatora stosunków łowieckich w pow. rawskim, Jego nacechowane zawsze powagą i odwagą cywilną wystąpienia na Walnych zebraniach, to nadto żywym pomnikiem dlań, jest lub przynajmniej być powinien Jego projekt zaprowadzenia powszechnego przymusowego plombowania zwierzyny ubitej, a w handel wprowadzanej. Byłby to zdaniem ś. p. Zmarłego i naszem, bardzo skuteczny środek walki z kłusownictwem i wnykarstwem, środek z pewnością skuteczniejszy niż wiele innych pomysłów, mających podnieść łowiectwo w Państwie.

Projekt ś. p. Wysockiego przesłany został przez nas w r. 1934 Związkowi, a przez tenże, po ujęciu go w artykuły pracą Dr. Adama Lardemera, przedłożony jako gotowy projekt ustawodawczy Ministerstwu Roln. i Ref. R.

Żałobnemi były dla nas wogóle ostatnie miesiące opisywanego dziesięciolecia. Prawie nieustannie dochodziły nas wieści o śmierci najwierniejszych naszych Towarzyszy.

W dniu 12 września 1935, umiera Władysław Garapich, długoletni członek Wydziału, czynny i chętnie swą pracę oddający w sprawach urządzania strzelań i wystaw łowieckich, autor wzruszających nastrojem artykułów o zwierzętach, które naprawdę lubił.

W połowie stycznia dochodzi nas wieść o śmierci Kazimierza Marmorossa, niezrównanego „dzikarza“, wspaniałego strzelca, niezmiennego zawsze w uczuciach przyjaciela Towarzystwa, który choć w jego Wydziale nigdy nie zasiadał, był temu Wydziałowi jednym z najbliższych.

W dniu 10 lutego b. r. umiera członek Wydziału, znakomity myśliwy, Henryk Prek, któremu śmierć wytrąca z rąk sztuciec do odyńca wymierzony.

To są straty jakie łowiectwo małopolskie nielatwo będzie mogło uzupełnić.

Doszedłem w ten sposób w tym szkicu kronikarskim do dni bieżących i pozostaje mi wymienić tych wszystkich, którzy u kresu sześćdziesięcioletniego trwania Towarzystwa w jego Wydziale zasiadają.

Są to: Prezes Juljusz hr. Bielski, Wiceprezesi: Wojciech hr. Gołuchowski, Andrzej Książę Lubomirski, Albert Mniszek i Adam hr. Starzeński, jako Prezes Oddziału

krakowskiego, Członkowie Wydziału: Dr. Stefan Gajewski, Zygmunt Gronziewicz, gen. Walery Maryański, Dr. Franciszek Piechowki, Stanisław Pieńczykowski, Dr. Jerzy Rosienkiewicz, Dr. Edward Skowroński, inż. Tadeusz Sroczyński, inż. Bronisław Welczer i Dr. Witołd Ziembicki; zastępcy: Stanisław Jaśkiewicz, Stanisław Longschamps, Dr. Ksawery Obmiński, Camillo Perini i inż. Zbigniew Sander.

Niechaj mi też wolno będzie nadmienić, że piszący te słowa, który w r. 1935 po kilkunastu latach uczestnictwa w Wydziale, wyboru na dalszą kadencję był nie przyjął, lecz równocześnie oświadczył, że będzie nadal w miarę możności dla Towarzystwa w kontakcie z Wydziałem pracował, danego przyrzeczenia dotąd dotrzymuje.

Sześćdziesiąt lat, to czas długi, nie tak długi jednak, by się Towarzystwo naprawdę zestarzało i stało się przeżytkiem. Jest nas jeszcze wielu, przejętych duchem Założycieli Towarzystwa i tradycją, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Wierni odziedziczonym zasadom i nabytym doświadczeniom, widzimy w niem i nadal najlepszą ostoję łowiectwa na tych ziemiach.

Sursum corda! Ufni w swe siły i w pomoc św .Huberta, sterujmy łódź przeznaczeń ku naprawdę djamentowym godom za lat 15!

CZŁONKOWIE WYDZIAŁU M. T. Ł. w r. 1935/36

NA TLE WEJŚCIA DO PIERWSZEGO LOKALU TOWARZYSTWA Z R. 1876
W DZIEDZIŃCU MUZEUM IM. DZIEDUSZYCKICH WE LWOWIE



W PIERWSZYM RZĘDZIE STOJĄ OD LEWEJ: ALFRED SANDER, ALBERT MNISZEK, JULJUSZ HR. BIELSKI, ANDRZEJ KS. LUBOMIRSKI, WALERY MARYAŃSKI, WOJCIECH HR. GOŁUCHOWSKI; — W DRUGIM RZĘDZIE: WITOŁD ZIEMBICKI, EDWARD SKOWROŃSKI, STEFAN GAJEWSKI, STANISŁAW JAŚKIEWICZ; — NA PODWYŻSZENIU: STANISŁAW LONGCHAMPS, FRANCISZEK PIECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃCZYKOWSKI, KSAWERY OBMIŃSKI, TADEUSZ SROCZYŃSKI, BRONISŁAW WELCZER.

Prof. Dr. WŁADYSŁAW SZAFER
Przewodniczący Państwowej Rady Ochrony Przyrody.

NASZE WSPÓLNE ZADANIA

UTRWALA SIĘ W POLSCE coraz silniej stosunek przyjazny pomiędzy łowiectwem i ochroną przyrody. Trwałą podstawę daje mu pogłębiające się coraz bardziej zrozumienie wspólnych ideałów i wspólnych interesów. Ideą główną, łączącą łowcę z przyrodnikiem - „ochroniarzem", jest wielkie umiłowanie przyrody jako barwnego tła życia zwierzyny łownej, wspólny zaś interes znajdują oni w dążeniu do utrzymania stanu jakościowego, a częściowo też ilościowego zwierzyny na jak najwyższym poziomie. Wytępienie zupełne jakiegokolwiek gatunku zwierzęcia, należącego do całości fauny miejscowej, uważaliby oni dziś już zgodnie za cios bolesny, nawet wtedy, gdy rozchodziłoby się o zwierzę z kategorji t. zw. szkodników.

Kto z prawdziwych łowców (a nie strzelców tylko!) chciałby dziś np. pozbyć się ze swego łowiska lisa, dzika, niedźwiedzia lub orła? Przypuszczam, że to zrozumienie obowiązku zachowania całości naszej fauny krajowej będzie się w łowiectwie polskiem coraz bardziej utrwalało i że niedługo może nadejdzie chwila, gdy wśród naczelnych przepisów statutu każdego związku, towarzystwa, lub koła łowieckiego w Polsce, znajdzie się przepis, który dziś jest szlachetną ambicją i hasłem angielskiego towarzystwa Society for the Preservation of the Fauna of the Empire: „The main object of the Society is to ensure that no more species of wild animals shall be exterminated within the British Empire". Towarzystwu temu patronują zaś w Imperjum angielskiem najwięksi dostojnicy państwowi, a członkami jego są zarówno wybitniejsi uczeni jak i głośni myśliwi.

Sądzę, że tego rodzaju ścisły związek łowiectwa z ochroną zwierząt dzikich jest także w Polsce możliwy i twierdzę, że już tu i ówdzie dokonał się on faktycznie, choć nie znalazł dotychczas swej własnej formy organizacyjnej. Zanim to nastąpi, skupiają się dziś łowcy tego szlachetnego typu w szeregach Ligi Ochrony Przyrody, popularnej społecznej organizacji, która m. in. celami zabiega o to, aby fauna krajowa nie straciła na zawsze ze swej listy żadnego ze swych przedstawicieli. Dalszym dowodem odczuwania potrzeby tworzenia tego rodzaju organizacyj wspólnych, ochroniarsko-łowieckich, są też istniejące już u nas organizacje specjalne dla ochrony łosia, niedźwiedzia i pardwy, lub zamierzone (np. dla ochrony dzika). Nie wątpię, że z tych pierwszych komórek organizacyjnych powstanie kiedyś organizm wspólny, tak silny i wpływowy, jakim jest towarzystwo angielskie, o którem wyżej wspomniałem.

Drugiem, wielkiem zadaniem, które wykonać musimy w Polsce zjednoczonym wysiłkiem łowców i przyrodników, jest zbadanie naukowe biologji i systematyki naszej fauny krajowej. O ile chodzi o obserwacje biologiczne, to łamy naszych pism łowieckich są ich prawdziwą kopalnią, z której biolog czerpać może obficie i z coraz większą gwarancją czystości źródła; wysoki bowiem poziom redakcyj naszych głównych organów łowieckich nie pozostawia dziś prawie zupełnie otwartej furtki, którą mogłyby wcisnąć się na ich szpalty wytwory fantazji myśliwskiej, tak miłej w opowieściach przy ognisku lub na towarzyskiem zebraniu, lecz niedopuszczalnych w nauce. Natomiast jeżeli chodzi o znajomość morfologji i anatomji naszych zwierząt łownych, będących podstawą ich naukowej systematyki podgatunkowej[1]), to na tem polu jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Tymczasem z postępującym zbyt szybko procesem odlesiania kraju, osuszania błot i wdzierania się człowieka w ostatnie już ostępy pierwotnych kniei, zmienia się szybko skład naszej fauny zarówno ilościowo jak jakościowo. Do tego dochodzi jeszcze równocześnie prowadzona tu i ówdzie akcja t. zw. odświeżania krwi lub poprawiania rasy przez import obcych odmian i ras oraz ich aklimatyzację (np. zajęcy z Czech). W takim stanie rzeczy staje się palącą potrzebą w zakresie naukowego łowiectwa gromadzenie w naszych muzeach zoologicznych wielkich zbiorów czaszek, szkieletów, poroży, skór i t. p. materjału naukowego z przedstawicieli naszej rodzimej fauny, zwłaszcza zaś fauny zwierząt ssących, aby na tej podstawie można było zbadać ich naturalną zmienność, oraz poznać i opisać ich rasy geograficzne. Takiej pomocy od polskich myśliwych ma prawo oczekiwać polska nauka. Pamiętać należy, że każda czaszka, skóra lub rogi pospolitego nawet zwierzęcia (np. zająca, lisa, dzika, jelenia, sarny, kuny i t. d.), nie będąca żadnem zgoła godnem zachowania trofeum myśliwskiem, o ile tylko ma na sobie kartkę z nazwą miejscowości, z której okaz pochodzi, przedstawia wartość naukową i będzie z wdzięcznością przyjęta np. w Państwowem Muzeum Zoologicznem w Warszawie, na czele którego stoi wybitny uczony, a zarazem znany łowca, Janusz Domaniewski.

[1]) Por.: Kuntze R., Systematyka podgatunkowa a ochrona przyrody, „Ochrona Przyrody", R. XV, Kraków 1935.



DZIKIE GĘSI W ZAŁOŻCACH Fot. W. Puchalski

Zaprawdę byłoby pięknym dowodem uznania nauki, gdyby nasze towarzystwa łowieckie akcję taką na wielką skalę zorganizować chciały.

Nakoniec jeszcze jedno. Oto gorąco pragnęlibyśmy, aby wśród licznych szeregów myśliwych coraz częściej trafiali się tacy, którzy „strzał“ do zwierzęcia z aparatu fotograficznego przenosiliby nad strzał ze strzelby lub sztucera. Mamy już na szczęście w Polsce takich myśliwych typu „camera-hunter“ ale ciągle jeszcze należą oni do wyjątków, gdyż regułą jest, że myśliwi robią dopiero wtedy użytek z aparatu fotograficznego, gdy u ich stóp leży już nieżywe zwierzę. — Tymczasem w Anglji, w Ameryce, w Szwecji, w Niemczech i w innych krajach, typ myśliwego ze zmontowanym aparatem fotograficznym na łożysku sztucera, staje się coraz częstszy i popularniejszy. Dlatego to łatwiej dziś zdobyć w Polsce doskonałe zdjęcia z życia zwierząt z centralnej Afryki lub łosia z Kanady, a bobra z Norwegji, aniżeli otrzymać dobrą fotografję naszego jelenia karpackiego na rykowisku, wilka lub dzika. A przecież jasne jest, że tego rodzaju fotografje zwierząt w naturze, jakie dają nam tej miary myśliwi, jak np. Władysław Burzyński, Włodzimierz Korsak lub Włodzimierz Puchalski, przedstawiają i dla nauki i dla ich autorów niemniejszą wartość, aniżeli wypchane trofea lub tem bardziej fotografje z najwspanialszych nawet rozkładów zwierząt nieżywych.

Nie chcąc nadużyć uprzejmości Redakcji tak bardzo zasłużonego „Łowca“, która udzieliła mi na jego łamach gościny, nie powiększę tu ilości naszych wspólnych zadań, choć mógłbym to z łatwością uczynić. Zaznaczę tylko, że m. in. od wykonania wymienionych tu zadań, do których powołane jest w Polsce łowiectwo, zależy w dużej mierze to, czy w dalszym swym rozwoju osiągnie ono swe wszystkie wysokie cele, do których dziś tak ambitnie i szybko podąża.

ADAM STARZEŃSKI

REKORDY

Kościelec, 29 kwietnia 1936 r.

W ROKU JUBILEUSZOWYM myślistwa przychodzą mimowoli na myśl rekordy myśliwskie. Jubileusz i rekord to krewniacy, to jakby jedna familja. A nasza Polska dzięki obfitości najrozmaitszej zwierzyny jest krajem świetnie nadającym się do tworzenia poważnych i niezwykłych rekordów, zdolnych wzbudzić podziw najbardziej wybrednych myśliwych.

Rekordy Polski i polskich myśliwych nie mają jeszcze swego historyka. Czy też kiedy mieć go będą? Powiedziałby on nam o wielu rzadkich, ciekawych, może nieraz nawet światowych rekordach, które dotąd bliżej nieznane spoczywają gdzieś w ukryciu w rozmaitych dziennikach łowieckich albo może jedynie w pamięci ludzkiej. Wydobyć je, spisać i ogłosić byłoby pięknem dziełem, cennem dla historji rozwoju łowiectwa w Polsce. Nic łatwo nie przychodzi, więc trudności w zebraniu materjału będą wielkie, zwłaszcza że dziś już wiemy o jednem „niestety“ i to przez duże N pisanem. Wielu bowiem z naszych myśliwych i właśnie z tych najlepszych albo nie prowadziło nigdy zapisków, albo też zaginęły im one w zawierusze wojennej. A także wielu już zabrało na tamten świat cyfry i wspomnienia rekordów, dziś może nawet nie osiągalnych skutkiem zmieniających się gwałtownie warunków bytu, dla wielu gatunków zwierza i ptactwa nieodzownie potrzebnych. Wielkie dotąd w Polsce były obszary, wielka ich kultura, wielki spokój, wielka ilość zwierzyny — a łatwo przewidzieć co będzie, gdy „wielkie“ zmienią się na „małe“, wystarczy mała przejażdżka po Rumunji.

Ale może jeszcze nie zapóźno i jeszcze dałoby się zebrać sporo wiadomości, gdyby ktoś chętny zaraz zabrał się do pracy. Spotka się on napewno z życzliwą pomocą myśliwych, mimo iż niejeden z nich, choć szybki w strzale, w pisaniu bywa powolny. A my dowiedzielibyśmy się, że wśród nas jest myśliwy, jeden z najlepszych i najdzielniejszych, który prócz olbrzymiej ilości ubitego grubego zwierza, ma na rozkładzie 96 potężnych odyńców! Rekord chyba trudny do pobicia, zwłaszcza, że w tej liczbie są 3 czy 4 dublety! Dowiedzielibyśmy się także, że cyfry ubitych kulami kozłów u niektórych naszych myśliwych idą w tysiące, że najwyższa stwierdzona liczba wynosi przeszło 3.000 sztuk, dalej 1303 i 1034, że mamy znaczną ilość nemrodów, mających od 700 do 900 zdobytych parostków i że w gronie tych nemrodów znajduje się i pani myśliwa, która w ubiegłym roku obchodziła jubileusz zabicia 800-tnego kozła. Poważne to cyfry w porównaniu z angielskiemi, które u najlepszych tamtejszych strzelców obracają się około setki kozłów. A łykając ślinkę, dowiedzielibyśmy się o zgórą tysiącu lisach zabitych przez myśliwego, którego szczególną namiętnością były polowania na lisy.

Chlubnym tym cyfrom grozi zapomnienie, bogatym tradycjom grozi zagłada, a góry nasze i puszcze, mszary, jeziora, bezmiar poleski, czekają wciąż jeszcze, jak to z naciskiem powtórzyć trzeba, na swego historyka. Czyżby przyszłe pokolenie polskich myśliwych nic już wiedzieć nie miało o polskich rekordach? nic o dawniejszych rekordowych wieńcach jeleni karpackich? nic o huculе z Hryniawy, który po zabiciu 50-tego niedźwiedzia pomylił rachubę? nic o tragicznej walce o padlinę pomiędzy niedźwiedziem i odyńcem, walce rekordowej, zakończonej śmiercią obu przeciwników? A łosie, rysie, lub wilki, głuszce, pardwy i niezliczone ilości ptactwa szlachetnego? Czy nie należą się im wspomnienia?

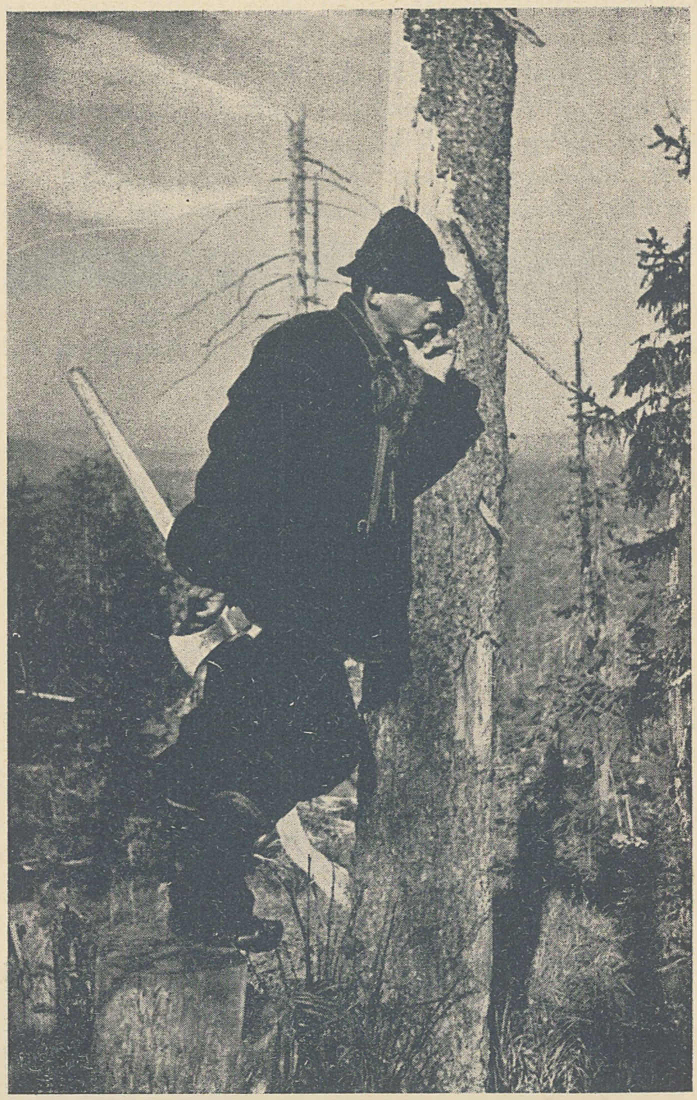
Rekordy podzielić wypada na dwa rodzaje — na rekordy ilości i na rekordy jakości. Te ostatnie są wytworniejsze, bardziej zajmujące, nawet możnaby powiedzieć, bardziej szlachetne. Na ilościowe rekordy można zapatrywać się rozmaicie. Teodor Roosevelt Prezydent Stanów

Zjednoczonych Amerykańskich, znakomity, światowej sławy myśliwy, w jednej ze swych książek opisujących wyprawy myśliwskie powiedział, że „kładzenie nacisku li tylko na ilości ubitej zwierzyny i wyliczanie rokordowych cyfr takich rzezi, znamionują niechybnie upadek ducha sportowego w łowiectwie“. Usiłowanie tworzenia rekordów jest objawem normalnym, gdyż każde dążenie do udoskonalenia jest wrodzoną cechą natury ludzkiej. Spisywanie zaś rekordów wcale nie jest nowością, gdyż już hieroglify staro-egipskie sławią faraona Amen-Hotepa III, który w pierwszym dziesiątku lat swego panowania upolował 102 wspaniałe lwy — a było to w latach 1400/1390 przed naszą erą.

W zamiłowaniu tworzenia i katalogowania rekordów prym wiodą Anglicy. Mają też wspaniałą, temu poświęconą literaturę. Piękne, kosztowne wydania. Ale nie zawsze tak było. Jeszcze w XVIII wieku w Anglji, ubicie jakiejś większej ilości zwierzyny w jednym dniu przez jednego myśliwego było uważane jako uchybienie etyce łowieckiej, jako nie licujące z pojęciem prawdziwego myśliwego. Zabicie zaś jednym pojedyńczym strzałem dwóch lub więcej kuropatw czy innego ptactwa łownego karane było wysoką grzywną 10 szylingów 6 pensów. A było to w czasach, gdy tuż obok na kontynencie europejskim, a zwłaszcza w rozmaitych udzielnych państewkach niemieckich, lubowano się w wybijaniu olbrzymich ilości zwierzyny w zamkniętych sieciami przestrzeniach przy użyciu tysiąca lub więcej naganiaczy, a każdy z uczestników stojąc na czatowni miał po sześć strzelb na zmianę i po trzech nabijaczy. Ten rodzaj polowania przedostał się był z królami Sasami także do Polski i znajdywał zwolenników. Albowiem rozmaici są ludzie, rozmaite usposobienia i upodobania. A rozmaitość jest bogactwem i wdziękiem tego świata. Uważny badacz dostrzega i u zwierząt rozmaitość w skłonnościach do zabijania. Więc sokół wędrowny, więc lew — jedną tylko sztukę dziennie zabijają lub tyle, wiele do wyżywienia potrzebują. Ale jest kuna, jest łasica — proszę je wpuścić do bogato zapełnionego kurnika, najlepiej nocą, a potem popatrzeć, co one potrafią. Pęd tworzenia rekordów jest u nich także silnie rozwinięty.

Lecz z biegiem czasu zapatrywania na łowiectwo i upodobania myśliwskie Brytyjczyków XVIII wieku poczęły się zmieniać i dziś ta sama Anglja przoduje w gonitwie za rekordami i chlubi się niemi. A teraz posłuchajmy jak ta przemiana już wyglądała w połowie XIX wieku. W hrabstwie Cumberland nad brzegiem morza Irlandzkiego tuż przy granicy Szkocji, w miejscowości Bewcastle, znajduje się zaciszny cmentarzyk i na bluszczem spowitym grobowcu można czytać taki napis: Jonathan Telford of Craggyford zmarł 25 kwietnia 1866, liczył lat 72. Zmarły był strzelcem sławnym na całą Północną Anglję — w ciągu długiego życia udało mu się ubić 59 grouse'ów siedmioma pojedyńczemi strzałami.

Wiadomość tę czerpiemy z książki wydanej w Londynie w roku 1923, tytuł jej brzmi „Record Bags and Shooting Records“, autorem jej, jak i wielu innych myśliwskich książek, jest znany myśliwy Hugh S. Gladstone. Są tam zestawienia rekordów wyłącznie drobnej zwierzyny ubitej przeważnie w brytyjskich posiadłościach i przez brytyjskich strzelców. Barwnie to opisane, pełne najrozmaitszych wydarzeń i opowiastek, nie nużące mimo iż na każdej stronicy z konieczności roi się od cyfr. Pragnę tu bodaj kilka rekordów wymienić.



Z rykowiska w Żabiem Fot. W. Puchalski
GAJOWY NA PODSŁUCHACH

Najlepszym strzelcem Anglji, który zarazem największą miał ilość ubitej zwierzyny był Lord de Grey. Zapiski jego najściślej prowadzone wykazują ubitych sztuk 500.316 od rynocerosa aż do bekasa, więc o pięknie szerokiej skali różnorodności. W tem miał bażantów 222.976. Drugim takim sławnym strzelcem był Lord Walsingham, ustanowił on rekord dla szkockiej pardwy zabijając w jednym dniu pędzonych grouse'ów 1.070. W dzień ten wystrzelał on około 1.540 naboi a potem długo w noc grał jak zwykle w karty, co zaznacza w liście do przyjaciela. Rekord ubitych na jednem stanowisku grouse'ów jest 190. dokonał tego Sir Milbank w przeciągu 23 minut, oczywiście trzema strzelbami. A teraz słonki. Naszych myśliwych napewno poruszy wiadomość, że rekordowa dla jednej strzelby cyfra jest 168, zabitych w ciągu jednego dnia w okolicach Smyrny — ale przed psem, co trochę psuje wrażenie. Pędzonych bażantów, hodowanych na dziko, zabito na Węgrzech w Tótmegyes 6.135 w jeden dzień. Największy zaś jednodniowy rozkład pędzonych cietrzewi, osiągnięty w Anglji, wynosił 252 sztuk — lecz

dawne to dzieje, jeszcze z roku 1860. Z tego jeden szczęściarz zabił wtedy równo połowę.

Śród rekordów zabijanych ptaków wybitne miejsce zajmują kuropatwy. Rekord Anglji dla jednej strzelby wynosi 780 pędzonych kur, zabił je w jeden oczywiście dzień Maharadża Duleep Singh. A jednodniowe polowanie u Ks. Auersperga w Czechach dało w roku 1911 przeszło 4.000 porywanych kuropatw.

W roku 1839 w celach sportowych sprowadzono do Australji kilka par dzikich królików a w 30 lat później wywożono rocznie przeciętnie po 30 miljonów skórek króliczych.

Dzień otwarcia polowania na kaczki w hiszpańskiej miejscowości Caldereria uważany jest jako święto narodowe. Rokrocznie w ten pierwszy poranek zabijają tam na polach ryżowych wodą zalanych 22.000 do 23.000 krzyżówek i łysek .Wynik piękny, ale udział w tej zabawie bierze około 3.000 strzelb — ta cyfra chyba też jest rekordowa.

Osobny rozdział bardzo ciekawy poświęcony jest sprawności strzelających. Na wzmiankę zasługują przedewszystkiem dwa wyniki, oba świadkami stwierdzone, kaczek 174 na oddanych 197 strzałów i 228 „wysokich“ bażantów na 238 strzałów. Rekord zabitych królików jest 84%, rekord zaś pędzonych kuropatw wynosi 78% i nie jest łatwy do pobicia. Ale są tam i rekordy może bardziej dla niektórych z nas zrozumiałe, np. gdy słonka ciągnąca wzdłuż linji strzelców spada po 17 strzale. Dalej mamy rekordowe strzały na odległość i wysokość, rekordowe ilości sztuk jednym strzałem zabitych, niezwykłe dublety jak np. głuszec i słonka, a także zabicie w jednym dniu polowania przez jednego myśliwego 22 gatunków zwierzyny. Dalsze dwa rozdziały mówią o szybkości lotu ptaków i rekordowych wagach zwierzyny. Po przeczytaniu tego wszystkiego dochodzi się do wniosku, że wszędzie we wszystkiem można doszukać się rekordu, wzmaga to „radość życia“, daje rozrywkę i zdrowe wzruszenia — a nieraz i uśmiech zadowolenia.



DZIKI W KNIEI W MOROCZYNIE Fot. W. Puchalski

Na zakończenie powracam do Polski. Niech mi wolno będzie przerzucić się do pokrewnego łowiectwu sportu, do wspaniałego wędkarskiego sportu łowienia salmonidów na sztuczną muchę. Tu również liczne są możliwości najróżmaitszych rekordów.

Stoimy więc nad Dunajcem pod Szaflarami, nad groźnie szumiącym odmętem. Spienione wody przewalają się z ogłuszającym hukiem poprzez samorody (skały wyrastające z dna rzeki). Wymarzone stanowisko łososia. W butach z gwoździami, w nieprzemakalnych pantalonach sięgających aż pod ramiona stoi pani po kolana w wodzie, trzyma oburącz wspaniałą wędkę „Princess Mary“ od Hardy Bros. z Londynu. Raz po raz ciska tą wędką w pieniące się nurty sztuczną muchę, mało co mniejszą od jaskółek brzegówek, licznie w tem miejscu gnieżdżących się. Po jakimś dziesiątym rzucie szarpnięcie gwałtowne, linka się wypręża, wędka na kształt łuku zgina się niebezpiecznie. Jest... jest... łosoś... Podziwiamy teraz naszą panię. Spokój i opanowanie. Pomna reguły angielskiej „one minute to the pound“ wie, że na każdy funt ryby trzeba minutę czasu poświęcić zanim zdoła się przemóc rozpaczliwy jej opór — a łosoś nasz sądząc z siły z jaką się opiera ważyć musi dziesięć a może dwanaście i więcej kilogramów. Czasu więc mamy wiele. Zapalmy fajeczki.

Rozmaicie bronią się łososie. Jedne w pędzie szalonym uciekają w górę rzeki, kołowrotek pociągany gwałtownie warczy złowrogo, linka, jakkolwiek stumetrowa, w jednej chwili odwija się cała, a wtedy biada ci rybaku, czeka cię karkołomna gonitwa po głazach granitowych. Inne znów łososie wyskakują nieustannie ponad wodę na metr lub więcej, aby się oderwać od wędki, i nierzadko czynią to ze skutkiem. Ten tu jednak najtrudniejszą dla łowiącego obrał metodę, opuścił się na dno rzeki, zaklinował się między skały, zapewne pyskiem pociera o nie, by się pozbyć haczyka. Widocznie stary to klemp (samiec) i chytry. Każdej chwili teraz linka może się urwać, każdej chwili wędka złamać. Niebezpieczeństwo wielkie... A na brzegu — ciżba wielka. W mgnieniu oka zgromadzili się górale, góralki, letnicy, letniczki. Wszyscy krzyczą, wszyscy doradzają. Przybiegli także, szalejący z radości, dwaj cyganie ze skrzypkami, zda się że struny od polsko-węgierskich melodji popękają. — Długo trwało zmaganie się z rybą, wreszcie opór jej, widocznie na skutek umiejętnego pociągania wędką, przełamał się i teraz pani nasza, choć umęczona walką, pośpiesznie zwinęła linkę, aby wyprowadziwszy łososia na spokojną wodę, przyholować go do brzegu. I wyłowiła białe wełniane portki góralskie — bardzo pięknie wyszywane.

WITOŁD ZIEMBICKI

ARTUR BARTELS

W PRZEDDZIEŃ WIGILJI Bożego Narodzenia ubiegłego roku minęło pięćdziesiąt lat od śmierci Artura Bartelsa. Pięćdziesiąt lat wystarczyło, ażeby pamięć o jednym z najpopularniejszych w Polsce ludzi uległa zupełnej zagładzie. A przecież są jeszcze wśród nas żywi świadkowie przemożnego panowania jego piosenki. Bo ona to, piosenka, była powodem tej popularności. Niejedna babunia uśmiechnie się do swych myśli, kiedy wspomni, jak to się kiedyś, kiedyś, trefiąc włosy, nuciło półgłosem:

„Pod pantoflem mój dziadunio,
Pod pantoflem mój tatunio,
Pod pantoflem trzech stryjaszków,
Pod pantoflem dwóch wujaszków,
Pod pantoflem wszyscy, wszędzie,
Mój też pod pantoflem będzie..."

Albo dziadunio — na wspomnienie, jak się to słowami Bartelsa wyrażało pierwszy w życiu afekt:

„Ja panienkę już pół roku kocham całem sercem mojem,
Mam ją ciągle w mojem oku, kocham — a mówić się boję..."

Wszakże to jeszcze jakich 40 lat temu nie obeszło się nigdzie bez piosenki Bartelsa. Gdzie tylko zeszło się parę osób, rzucano wśród zabawy: „Możeby coś z Bartelsa"... i już siedział ktoś przy fortepianie, już płynął taki np. duet:

„Dzień dobry panience... Ach, to pan Wincenty,
Jakiż dzisiaj piękny, mój ty Boże święty.
Skądże to? — Z browaru — A dokąd? — Do panny —
— A czego? — Tak sobie... być koło Wasanny...
Czy można? — Nie można — Ach, jakaż okrutna!
Dlaczego nie można? — Dzisiaj jestem smutna.
— Smutna? a to czego? — Paskudny sen miałam.
Śniłam... — Co takiego? — Że męża dostałam...
— Doprawdy, patrzajcie, a cóż to tak złego?
— Cóż kiedy pisarza, i prowentowego...
— Fe, panna Marjanna tak źle sny tłumaczy...
— Zobacz pan w senniku, co taki sen znaczy.
— A czyż tam jest pisarz? — Nie, są aprykozy.
— Cóż to aprykozy? — To gatunek kozy,
A pan tak do kozła podobny okrutnie...
— Ach, panno Marjanno, jak to słuchać smutnie..."

Tajemnicą piosenki Bartelsa było to, że raz posłyszana, trzymała się ucha w nieskończoność. Łatwość przyswajania, prostota, naturalność, — to były gwarantki jej popularności. Mało powiedzieć popularności: piosnka Bartelsa stała się potrzebą, była elementem pośredniczącym w wymianie uczuć, w wypowiadaniu zapatrywań, w piętnowaniu wad, zwłaszcza, że nie było prawie tematu z życia prywatnego, czy publicznego, któregoby nie poruszała.

Zrazu bawił Bartels swemi utworami tylko najbliższe kółko znajomych, na Litwie, gdzie się urodził i gdzie ziemiańskie życie prowadził[1]). Sam sobie akompanjując na fortepianie, wykonywał je w sposób sobie właściwy i przez nikogo nigdy nie doścignony, hipochondryków nawet — jak ktoś zauważył, — do śmiechu pobudzając. Gdy wyczerpał zapas, improwizował całemi godzinami, stąd i forma często niezupełnie poprawna, nieopracowana, jakby zaniedbana na rzecz myśli przewodniej, zawsze aktualnej, często niespodzianej, nigdy trywialnej. Piosence



było wkrótce za ciasno w szczupłych ramach wiejskiego dworu, podana więc z ust do ust, szła w świat, zdobywając coraz to nowych wykonawców, nieraz nieświadomych nawet, skąd się wzięła. Przyszedł czas, kiedy i Bartelsowi stało się na Litwie za ciasno. Pragnienie swobody i ukochanie rodzinnej ziemi nie mogło się pogodzić z atmosferą, zatrutą przez Murawiewa. Opuścił Wileńszczyznę i przeniósł się do Warszawy. Ale wkrótce i tu było mu duszno. Wtedy osiadł na stałe w Krakowie, gdzie pozostał już do śmierci, przez ostatnich 10 lat życia. Tak w Warszawie, jak w Krakowie, poprzedziła go jego piosenka. Talent jego wypłynął na szeroką arenę życia towarzyskiego tu i tam i stał się prawdziwą atrakcją, bez której żadne zebranie obyć się nie mogło. Rzecz tem bardziej zrozumiała, gdy dodamy do talentu niezwykłe zalety osobiste. Postać okazała, pańska[2]) (nie dziw —

[1]) Urodził się w Wilnie, dn. 13 października 1818 r. — Posiadłość miał nad Berezyną, przy samym moście historycznym. Później sprawował zarząd ordynacji birżańskiej.

[2]) Portret podany w niniejszym artykule jest reprodukcją z „Kłosów" t. XLII, 1886, str. 1. — Matejko użył Bartelsa jako modelu do wyobrażenia wspaniałej postaci Bonera w „Hołdzie pruskim". Zob.: Ciechanowski St., Kogo portretował Matejko? „Słowo polskie", Lwów, Nr. 118/1912.

wszak miał w sobie krew Radziwiłłów i Tyszkiewiczów), wychowanie świetne, wykształcenie niepospolite (studja kończył w Paryżu), natura nawskróś artystyczna (miał dar nietylko poetycki i muzykalny, ale i malarski). Mawiano o nim „to polski Béranger". Z pewnością brakło mu poezji tamtego pieśniarza, ale przypominał go formą i zaprawą. Ta była satyryczna, z jakimś odcieniem melancholijnym. Wyszydzał wady i śmieszności ludzkie, bez wskazywania palcem na ich właścicieli. A że wszyscy je mają, bawili się wszyscy, wszyscy widzieli w piosnce Bartelsa siebie, lub drugich, jak w zwierciadle. Zwierciadło zaś było wykwintne i dziwnie swojskie, szło więc z ręki do ręki, wszystkie oblicza w tę samą pogodę strojąc. Melodja najczęściej była już znana skądinąd. Bo słowa swe chętnie podkładał Bartels pod jakąś arję lub pieśń zapożyczoną, wywołując nieraz zabawne kontrasty pomiędzy tendencją swych pomysłów a duchem utworu muzycznego.

Cóż dziwnego, że kiedy Bartels dnia 23 grudnia 1885 zamknął powieki, a pieśń życia na jego ustach zamarła, żal po nim odezwał się tam, gdzie przedtem dotarły jego strofy. A że dotarły wszędzie, do najdalszych zakątków, żałował cały kraj, jak długi i szeroki[3]).

Cóż się zachowało z jego spuścizny pieśniarskiej? Niestety bardzo mało. Za życia swego wydał dwa zbiory piosenek z nutami[4]). Rzadkie to dziś, bo skwapliwie było rozchwytane, a mało gdzie do spotkania w komplecie, bo w miarę upodobania nabywano każdą pieśń osobno. Są tam takie perły humoru, jak „Opowiadanie cioci Salusi", „Departament niższej Sekwany", „Moja emulacja z panną Marjanną", albo inne prawdziwej poezji pełne, jak: „Cień matki", „Świat i ludzie", „Różne szczęścia", „Bawcie się dzieci", ale wieleż nie ujrzało nigdy druku i uleciało zwolna z pamięci! Także „Piosnki i satyry", wydane już po śmierci autora przez Kazimierza Bartoszewicza (w dwu zeszytach bez nut)[5]), przedstawiają drobną tylko cząstkę jego twórczości. A były tego „pełne szuflady" np. w Kałużycach, majątku Wańkowiczów, mówi p. Melchjor Wańkowicz, bratanek pani Kazimiery Bartelsowej, z domu Wańkowiczówny[6]). Obok materjałów rozproszonych i bezpowrotnie, w czasie wojny zwłaszcza, przepadłych, zachowała się jednak pewna część w ręku tej rodziny[7]). Może znajdzie się jeszcze kiedy ich wydawca.

Mimo swej niesłychanej popularności, piosnka Bartelsa uległa prawom przedawnienia. Oparta częstokroć na temacie bieżącym, poświęcona wypadkom dnia, wytykająca śmieszności i zwyczaje, które z biegiem czasu uległy przemianie, piosnka ta straciła pointę, stała się nawet niezrozumiała. Toteż jakkolwiek przeżyła autora, gasła powoli i powiedzieć można — progów dwudziestego wieku już nie przekroczyła. Tu i ówdzie zachowało się jakieś wspomnienie, zapamiętano jakiś fragment, niektóre zwroty przetrwały i do dziś, często bezimiennie. A przecież nie zgasła zupełnie. Już w Polsce odrodzonej odezwało się jej echo i to w paradnej szacie, inscenizowane w warszawskiej „Reducie". Przypomniały się czasy znakomitej interpretatorki piosenek Bartelsa, słynnej Zimajerki. Bodajżeby to echo było naśladowane!

Inny talent Bartelsa, talent malarski, również długi czas produkujący tylko dla najbliższego grona przyjaciół, doczekał się wcześniej od piosenek częściowego utrwalenia, a to w ramach pamiętnego Albumu wileńskiego[8]). Tam to w r. 1858 ukazały się trzy serje karykatur z tekstem pod nagłówkami: „Łapigrosze", „Pan Atanazy Skorupka" i „Pan Eugenjusz". Już samo umieszczenie tych utworów w świetnem wydawnictwie i w szacie, jaką umiał im nadać tylko Lemercier w Paryżu[9]), świadczy najlepiej, jak one były oceniane. W rok później pojawiły się w druku pierwsze sztuki teatralne Bartelsa. Była to Serja I, zawierająca dramat: „Serce brata" i komedję: „Niewiniątko"[10]). Później ukazały się dwie znakomite komedyjki: „Goście" i „Popas w Miłosnej"[11]). Faktura ich, przypominająca Korzeniowskiego, na starą skrojona była modłę, niemniej jednak i tu, jak w rysowanych karykaturach i w piosenkach, okazał się Bartels niepospolitym obserwatorem, chwytającym wprost z życia wyborne i przezabawne typy. I podobnie jak w popularnym koncercie dobroczynnym nie mogło się obejść bez piosenek Bartelsa, tak w teatrze amatorskim owej epoki nie mogło braknąć jego utworów scenicznych.

Próbował Bartels swych sił także na polu dziennikarstwa[12]). Osiadłszy w Krakowie pracował najpierw w „Czasie", potem w „Gazecie krakowskiej". Powszechne zainteresowanie budziły jego kroniki: „Listy z miasta" (1882—1883), zawierające bardzo trafną charakterystykę współczesnej polityki europejskiej. Ponadto gromadził materjały do historji naszej publicystyki i zostawił

[3]) Nekrologi Bartelsa pojawiły się w całej prasie codziennej. Zob. np. „Nowa Reforma" Nr. 294/1885, „Czas" Nr. 11/1886. Obszerniejsze wspomnienia: w „Łowcu" 1886 str. 30, w „Kłosach" t. XLII, 1886, str. 3, w „Tygodniku ilustrowanym" 1886, I, str. 22, w „Ognisku domowem" 1886, str. 62. — Zob. też Ziembicki Witołd, artykuł biograficzny o Bartelsie w Polskim Słowniku Biograficznym. — Zwracam uwagę na chwiejność pisowni nazwiska. Sam autor podpisywał swe twory publikowane: Barthels (przez *th*). Później jednak utarła się pisownia: Bartels.

[4]) Zbiór piosnek z towarzyszeniem fortepianu (15 utworów), nakł. autora, skład główny u Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Drugi zbiór piosnek z towarzyszeniem fortepianu (13 utworów) nakładem autora w Krakowie.

[6]) Zob.: Wańkowicz M., Szczenięce lata, Warszawa, 1934.

[5]) W Krakowie, zesz. I w r. 1888, zesz. II w r. 1890.

[7]) Ocalał np. rękopis poematu pod tyt. „Twardojada", zużytkowany częściowo w „Szczenięcych latach". Część materjałów pozostała w rodzinie Świackich (siostra Arturowej Bartelsowej była za Karolem Świackim). Szczegół ten zawdzięczam p. Melchjorowi Wańkowiczowi.

[8]) Luksusowe wydawnictwo, finansowane przez lekarza, a zarazem mecenasa sztuk, dra J. K. Wilczyńskiego. — W późniejszym czasie przygotował był Bartels do druku zbiór typowych humorystycznych postaci z dawnych czasów, a to na życzenie Konstantego Tyszkiewicza i do tekstu opracowanego przez Johna of Dycalp (pseudonim Placyda Jankowskiego). Ale do wydania nie przyszło. — Niektóre rysunki reprodukowane w rozmaitych czasopismach np. Poleszuk, „Świat", 1894, str. 453.

[9]) Słynny litograf.

[10]) Dramata i komedje, Serja I, Wilno, 1859.

[11]) „Goście" Gebethner i Sp., Kraków, 1886.

[12]) Fotograficzne zdjęcia z oryginałów, będących obecnie w posiadaniu hr. Adama Potockiego, zawdzięczam uprzejmości Xcia Leona Sapiehy. — Obraz tu reprodukowany był umieszczony na Wystawie sztuki polskiej okresu 1764—1886 we Lwowie w r. 1894. Zob. Katalog tej wystawy wydany przez J. Bołoz Antoniewicza. — Zob. też Świeykowski E., Pamiętnik Tow. przyj. sztuk pięknych w Krakowie, Kraków, 1905, str. 262.

ogromny, bardzo cenny zbiór wycinków dziennikarskich, opatrzonych własnemi przypisami, — zbiór, niestety nigdy nie zużytkowany.

Osobna wzmianka należy się Bartelsowi jako autorowi łowieckiemu. Jako ziemianin i syn Litwy, był on myśliwym z urodzenia. Polował wiele, miał, jak mówiono, zabić 40 niedźwiedzi. Znając doskonale naturę „misia", opowiadał o nim z niezrównanym humorem. Toteż i zwrotki jego piosenki p. tyt. „Niedźwiedź" należały do najlepszych jego utworów i były ulubionym „numerem" występów Bartelsa w krakowskiem „Kole literacko-artystycznem".

Polowanie na niedźwiedzia było też jednym z ulubionych tematów scen myśliwskich, malowanych przez Bartelsa obok innych rodzajowych obrazków, na drzewie. Wykonywał je tuszem na deszczułce, wyzyskując w sposób oryginalny, sobie właściwy, słoje i sęki drzewne jako części składowe kompozycji. Te w swoim rodzaju arcydziełka, nie były nigdzie reprodukowane, a oryginały rozprószyły się po świecie. Podaję podobiznę jednego z dwu tego rodzaju obrazów, nabytych niegdyś przez ś. p. Andrzeja hr. Potockiego[12]).

Cóż za szkoda, że materjałów myśliwskich Bartels nie zbierał i nie publikował i że systematyczniej zaczął pisać w tej dziedzinie dopiero, gdy pojawił się „Łowiec", t. j. w roku 1878. Z żalem mówi o tem w jednym z artykułów, dla „Łowca" przeznaczonych[13]). To jednak, co zdołał jeszcze spisać i napisać, należy nietylko do najcenniejszych kart starego „Łowca", ale stanowi jedną z najcenniejszych rubryk całej spuścizny pisarskiej Bartelsa wogóle.

A gdy piosenka przebrzmiała, gdy karykatury straciły aktualność, gdy sztuki teatralne pokrył pył starzyzny, — to myśliwskie opowiadania, opisy i poematy niemniejszą wartość mają dziś, niż miały wtedy, gdy wychodziły z pod złotego pióra Bartelsa. Przeciwnie, nawet zyskały na wartości. Oparte bowiem na osobistych przeżyciach i na istniejących zwyczajach, nabierają wartości dokumentu w tym dziale naszej narodowej kultury. Dokumentu, skreślonego ręką wprawną i fachową obserwatora pierwszorzędnego, jakim się Bartels okazał na każdem polu swej wielostronnej działalności i twórczości.

W okresie trzyletnim 1878—1880 zasila więc Bartels naszego „Łowca" i staje w szeregu owych nieśmiertelnych pisarzy, którzy tak wysoko odrazu podnieśli wartość i znaczenie pierwszego na ziemiach polskich organu myśliwskiego: obok Wodzickich, Starzeńskich, Spaustów i Ubyszów. A jeśli chodzi o Litwę, to wartość artykułów Bartelsa dla historji tamtejszego łowiectwa dziś dopiero możemy należycie ocenić, nikt bowiem ani przed nim ani po nim w podobny sposób tematów tych nie ujął.

Zawarta w „Łowcu" spuścizna przedstawia się w porządku chronologicznym jak następuje:

Rok 1878:

Tydzień poleski (wierszem) str. 24, 37, 56, 69, 86, 103.
Książę wojewoda trocki (Wspomnienie o łowach Józefa Radziwiłła). str. 41.
Kilka słów o Polesiu, o Poleszukach i polowaniu, str. 72.
O wilkach litewskich i polowaniu na nie, str. 107.
O niedźwiedziach na Litwie, str. 138, 153.
Deniskowicze (wierszem, pisane w Deniskowiczach w lutym 1862 r.) str. 148.

Rok 1879:

Zimowe łowy na Litwie (wierszem), str. 5, 40, 53, 85, 100, 121.
O bobrach na Litwie, str. 26.
Polowania letnie i jesienne, str. 153.

Rok 1880:

Polowania letnie i jesienne, c. d., str. 8, 24, 39, 87, 104, 137.

Niby klejnot pierwszorzędnej piękności lśni wśród tego dorobku niezrównany „Tydzień poleski"[14]). Pod postacią gawędy, płynącej lekko, potoczyście, przybranej w swoisty a jakże swojski język, roztacza niepospolity pisarz-myśliwiec oszałamiające wprost bogactwo obrazów niby prostych, a jakże wszechstronnie naświetlonych. Znajdziesz tam wszystko. I poczucie piękna przyrody i znajomość zwierza wszelakiego i terminologję regjonalną i opis zwyczajów i — co może najciekawsze: mistrzowską charakterystykę psychiki myśliwego. Weźmy taki np. drobny fragment:

„Chrap, chrap, chrap, ćwirk, ciągnie nad nami,
Każdy pilnuje, każdy wycela
Bac! bac! dwa strzały... poszła krzakami...
Źle się z początku do słonek strzela.
Zbyt bije serce w pierwszym momencie,
Strzela się chciwie i nieprzytomnie,
Bo pierwsze z wiosną słonki ćwirknięcie,
Pierwszy jej przeciąg nagły koło mnie,
Tak myśliwego stropi znienacka,
Tak mu krew całą do gruntu wzburzy,
Tak go zaślepi, tak go odurzy,
Jak pierwsza w życiu miłosna schadzka...

Albo ze sceny koło ogniska:

„ . . . . Litwin wygodny:
Gadać nie lubi, dopóki głodny.
Dopiero jak już podje do woli,
Wtedy i gębie hulać pozwoli.
Wtedy rozkoszny, czuły i giętki,
Stanie na całą noc do gawędki.
I poszły zatem opowiadania,
I odpowiedzi i zapytania,
I koncepciki i żarty śliskie,
I ukochane łgarstwa myśliwskie
I wypuszczone jak od niechcenia
Jakieś miłosne różne zwierzenia

[13]) W artykule p. tyt.: „Kilka słów o Polesiu" zapowiada Bartels dalsze prace dla „Łowca", a na innem miejscu („O bobrach na Litwie", „Łowiec" 1879, str. 26) pisze tak: „Nieraz sobie gorżko wymawiałem, a od czasu zaś jak „Łowiec" wychodzi, wymawiam to sobie z większą jeszcze goryczą, że mieszkając lat tyle na Litwie i mając wszelkie ku temu materjały, nie robiłem myśliwskich notatek, któreby obok miłych dla mnie wspomnień, mogły mieć w pewnym stopniu pouczającą nawet dla drugich wartość. Przekonywam się o tem, zamierzając pisać dla „Łowca" o bobrach litewskich. Gdybym był powziął lat temu trzydzieści myśl utrzymywania takich notatek, mógłbym dziś służyć „Łowcowi", jak sam widzę, nie nader niedokładnemi wiadomościami i ogólnikami, ale porządną statystyką tych zwierząt, niegdyś w całym polskim kraju pospolitych, dziś zaś bardzo już rzadkich i przechowujących się tylko w najniedostępniejszych miejscowościach Litwy, nad kilku, nieznanemi nawet w geografji rzeczkami, a skazanych prawdopodobnie na zupełną zagładę, dzięki niezaradności właścicieli i brakowi wszelkiej opieki prawa".

[14]) Jedyny z myśliwskich utworów Bartelsa, wydany potem osobno.

O pannie Zofji, o pannie Kasi,
O jakiejś Rózi, jakiejś Joasi,
Nawet żonaci, jak się wydało,
Z tyłu za nami zostali mało...
. . . .
I tak do późna, bez żółci, jadu,
Z fajeczką w zębach gadu i gadu,
Przy tęgiej szklance, panie, ponczyku
Z cukru, jamajki i brzozowiku:
Bo zamiast wody wzięliśmy soku,
Który przedziwny bywa do groku,
Gdy prosto z drzewa, czysty i świeży.
Niechaj spróbuje, kto mi nie wierzy.“

I w tym poemacie, jak w wielu utworach Bartelsa, przebija się gorąca miłość kraju rodzinnego i tęsknota do swobody. Rozdział XVIII „Tygodnia“, zaczynający się od słów:

„Oj niemasz, niemasz jak Litwa nasza...“

jest przepiękną i z myśliwska dowcipną apoteozą ziemi litewskiej. W zakończeniu zabrzmi nuta patrjotyczna, pełna tężyzny i buntu przeciw niewoli:

„Litwo poczciwa! w lasach twych i błotach
Jeszcze człek może żywić nieco ducha
Niepodległości, a serca tęsknotach,
Jeśli mu jeszcze choć słaba okrucha
Miłości kraju, pamięci przeszłości
I wiary w przyszłość w duszy pozostała, —
Może się jeszcze w głuchej samotności
Ostępów Twoich, gdzie natura cała
Nieujarzmiona dotąd go okala,
Zamknąwszy z myślą, zapomnieć na chwilę
O wszystkich nędzach, grożących mu zdala,
O nieszczęśliwych, których w kraju tyle,
O zemście wroga, co drapieżną szponą
Pastwi się, brodząc w krwi i łez strumieniu
I co z wszystkiego najsmutniejsze pono,
O własnej hańbie i własnem spodleniu!
Ze strzelbą w ręku i torbą borsuczą,
Prochem i śrutem suto napełnioną,
Mało mu wieści od świata dokuczą
I jeśli kiedy na duszę strapioną
Padnie zwątpienie smutne i szkodliwe,
Śćmią się przyszłości szczęśliwszej nadzieje
Najdroższe sercu, — wtedy te poczciwe
Lasy i błota, te znane ci knieje,
W zwierza obfite, ten świat nasz tak stary,
A wiecznie młody, uroczyście głuchy
I nieprzejrzane puszcz naszych obszary, —
Dodadzą serca i sercu otuchy...
Bo powiesz sobie, wszakże i tych dębów
Nie szczędzi zgoła zbrodnicza siekiera,
Ofiary nieme ostrej piły zębów,
Ileż ich chciwość na miałki proch ściera!
Ile ich ginie płomieniem zniszczonych,
Odartych z kory na pniu i sechnących!
A ileż znowu gdzieś tam zawleczonych,
Albo bezwładnie na miejscu gnijących!
A jednak żyją w młodych pokoleniach
I przy pniu starym, który mech porasta,
Na strupieszałych pozornie korzeniach,
Sto młodych dębów w siłę się rozrasta...
Bądźmy jak one... Straszne piły zęby,
Straszna siekiera... *aleź i my dęby!*

Wiele, wiele jeszcze drzew padło w puszczach litewskich, zanim zaświtać miała jutrzenka swobody. Ale dziś, gdy jaśnieje, wspomnijmy o szlachetnym i bądźcobądź niepospolitym synu tej ziemicy, którego gorące i wrażliwe serce upragnionej wolności nie doczekało. Pamięć tę uczcilibyśmy jednak najlepiej, gdybyśmy zapomniane, a przez wielu nigdy niepoznane, pisma myśliwskie Bartelsa rozpowszechnili w wydaniu zbiorowem. Zasługują one na to w całej pełni.



A. BARTELS: POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA
Wykonane tuszem na drzewie sosnowem.

ALBERT MNISZEK

KIEDY SERCE MYŚLIWSKIE MOCNIEJ BIJE...

EMOCJA MYŚLIWSKA!... To psotnica, co myśliwemu rzuca na oczy mrok a kwiaty na serce, pod których wonią mocniej ono bije. To czarodziejka, czasem z nieba, czasem z piekła rodem, co buntuje nerwy, przesłania mgłą różową rzeczywistość i utrwala złotemi zgłoskami w duszy łowca datę swego krótkiego w niej bytowania.

Emocja myśliwska, to źródło, z którego wytryska rozkosz i ból, to wstrzyk gorącej krwi z serca w siatkę nerwów, to istota rzeczy myśliwskiej, to czynnik, budzący nerw myśliwski i ukochanie łowieckiej sztuki.

Bo czyż człowiek polując, nie szuka tych silnych wrażeń, które dają łowy na tle bujnej przyrody, czy nie pragnie tej ważkiej emocji, którą odczuwa, gdy przewiduje bliskie z zwierzem spotkanie? Pocóż ponosiłby nadludzkie nieraz wysiłki i trudy, pocóż narażałby się i na niebezpieczeństwa, gdyby nie żądza emocji i wrażeń?

Emocja myśliwska nie ma skali, według której możnaby oznaczać moc jej działania na nerwy myśliwego. Siła jej zależy od usposobienia i wrażliwości łowca. Kto wiele poluje i często ze zwierzem ma spotkania, tem wrażliwość jego się zmniejsza — tak sądzićby logicznie należało, lecz nie zawsze tak bywa. Są myśliwi, z których wiekiem pasja myśliwska maleje i wreszcie gaśnie, są inni, u których do końca życia ona się potęguje. Rzecz tę trzeba osądzać indywidualnie. Tak samo indywidualnie tylko oznaczać można skalę wrażeń myśliwskich w stosunku do rodzaju zwierzyny.

Czyż chłopak kilkunastoletni, będący pierwszy raz w życiu na stanowisku z bronią w ręku, na widok kicającego w jego kierunku zająca, nie będzie miał tej samej emocji, co stary wyga na widok wychodzącego na niego odyńca? Czyż nie zazna on tej samej myśliwskiej rozkoszy, ubiwszy pierwszego w życiu kaczora krzyżowego, co sportsmen myśliwy, ubiwszy lwa w dżungli afrykańskiej?

Emocja myśliwska ustosunkowuje się do organizmu duchowego myśliwego i przechodzi rozmaitej rozpiętości skale w długoletniej praktyce myśliwskiej lecz nie słabnie nigdy, łatwiej tylko przychodzi doświadczonemu, starszemu myśliwemu ją opanowywać i dlatego śmiem twierdzić, że starsi myśliwi, gdy chodzi o strzał do grubego zwierza, strzelają często pewniej od młodych. Gdy jednak w myśliwym zgaśnie żądza wrażeń, które daje łowiectwo, przestaje on bezpowrotnie polować.

Skali tych, na zielonym ekranie doznawanych wrażeń, nie można mierzyć według szablonu, każdy je inaczej odczuwa, a taki, na którego one nie działają, jest strzelaczem a nie myśliwym. — Przyznać się muszę, że jedyny rodzaj polowania, który mi emocji nie czynił, to polowanie na bażanty i zające, w sposób, że go nazwę hurtowny, gdzie się ubijało setki ich dziennie; nie są to bowiem właściwe łowy, ale walka o rekord, o królestwo dnia — to strzelanina taka, jak do glinianych rzutków, o nagrodę honorową. Przyznać się też muszę i do tego, że przez całe moje życie myśliwskie doznawałem zawsze emocji w spotkaniu ze zwierzyną, czy to przed strzałem do króla Karpat, czy słysząc idące na mnie dziki w miocie, czy to zobaczywszy przed sobą wyżła w stójce do stada kuropatw.

Jeden z moich dawnych sąsiadów prosił mnie raz, bym jego 18-letniego syna, spędzającego w domu wakacje po zdaniu matury, a rwącego się do strzelby, wziął ze sobą na błota, bo nie może sobie już z nienasyconą jego pasją dać rady. Stach strzelał już w roku poprzednim nieźle przepiórki i kuropatwy, ale że to był dopiero koniec lipca, więc marzył o ubiciu kaczki, czy bekasa. Jakoż w kilka dni później znalazłem się na dzierżawionych przeze mnie błotach naddniestrzańskich ze Stachem, bardzo miłym i foremnym, rokującym jak najlepsze nadzieje myśliwskie, młodzieńcem.

Za chwilę pies mój wystawia dubelta. Przywołuję Stacha, mówię mu, że to będzie dubelt, a może i dwa, zaleciłem mu spokój, zimną krew i pchnąłem go przed psa. Zrywa się z charakterystycznem chrapnięciem dubelt, strzał, spada, w tej chwili zrywa się drugi i także leży. Więc dublet... ale i Stach leży... — zemdlał z nadmiernej emocji!

Ś. p. Henryk Prek zakończył życie, składając się do grubego odyńca, chore jego serce nie wytrzymało emocji; Stacha serce, choć chwilowo tylko, bić przestało z emocji na widok spadających dwóch ptaków!



CZAPLA SIWA Fot. W. Puchalski

Tam wielki, legendarny niemal odyniec, tu para małych ptaków, analogja: emocja tu i tam równa, może nawet przy dubeltach silniejsza!

Wrażenia myśliwskie nie dadzą się oceniać według wartości danej zwierzyny, lecz według stopnia wrażliwości indywidualnej.

Chwile emocji myśliwskiej, to błogosławione chwile w życiu myśliwego, chwile, które pamięć djamentowem utrwala dłutem w jego sercu.

Błogosławione to chwile, w których, jak to mówią, serce podchodzi do gardła i tak głośno bije, że gotowe spłoszyć zbliżającego się zwierza.

Myśli starego łowca uporczywie rwą się do wspomnień tych chwil ważkich, wielkiego wzruszenia, chwil bezwzględnego szczęścia, dostępnego tylko sercu myśliwskiemu.

ANTONI PISULIŃSKI

„TRICK"

JESZCZE PRZED KILKUDZIESIĘCIU LATY, jakże mało było środków komunikacyjnych w Afryce środkowej — za to jak wielkie piętrzyły się trudności przed Europejczykiem, gdy od strony morza chciał się dostać w głąb kraju, chociażby się to działo na przestrzeni stu — lub dwustukilometrowej. Przebycie takiej drogi należało już do wypraw, odpowiednio zorganizowanych, połączonych często z wielu niebezpieczeństwami; dziś należy do najzwyczajniejszych wycieczek, dokonywanych bądźto dla przyjemności poznania egzotycznego zakątka kraju, bądźto dla łowów, a także dla celów handlowych.

W tych to — niezbyt odległych czasach, stacjonowani na dalekich od wybrzeża faktorjach — biali ludzie, byli bardzo często odcięci od zewnętrznego świata na długie miesiące. Pozbawieni wiadomości z kraju, a niejednokrotnie zwykłego kontaktu ze swojemi centralami z wybrzeży morskich, nie mając towarzystwa równych sobie ludzi cywilizowanych — musieli tam przejść przedziwnie twardą szkołę życia, zanim potrafili oswoić się z niem, i wytrwać na tak eksponowanych posterunkach.

Pomijając już niezdrowy klimat i związane z nim choroby, pomijając trudności obcowania z napół dzikimi tubylcami, na niebezpieczeństwa, grożące im ciągle z tej strony — to sama nostalgja, jako nieodłączna choroba ich osamotnionego życia, stawała się jedną z najgorszych utrapień, z którą walczyć musieli.

Gdy np. przyszła pora deszczowa, gdy szalony upał trwał i we dnie i w nocy, gdy moskity dręczyły, a z powodu ulew i rozrastających się wówczas nieprzebitych trawisk — wyjście poza faktorję stawało się niemożliwem, ileż trzeba było hartu ducha i wysiłku woli, aby nie popaść w skrajną melancholję, i nie zrezygnować z dalszego tam pobytu — raz na zawsze.

Aby do tego nie doszło, należało za wszelką cenę utrzymywać pogodę ducha, zająć umysł czemś, coby pasjonowało takiego samotnika i mogło go wyrwać z odrętwienia duchowego, nawet w najbardziej przykrych chwilach .

Stąd też ci ludzie, poza swemi zwykłemi zajęciami, które ich w bardzo małej mierze absorbowały, poza polowaniem — jeśli byli myśliwymi, poza kolekcjonerstwem — o ile do tego czuli pociąg, wynajdywali sobie pewne zajęcia specjalne, t. zw. z angielska „hobby"[1]), któremu oddawali się z prawdziwą pasją.

Do takich „hobby" należało wówczas oswajanie dzikich zwierząt, próby udomowienia ich — i ich tresura. Z czworonogów Afryki środkowej mało było gatunków, które do tego się nadawały, jeszcze mniej takich, które łatwym sposobem można było zamienić na zwierzęta domowe, a już najmniej takich, któreby się do człowieka przywiązały, stając się jego towarzyszem i niejednokrotnie ulubieńcem.

Ale są.

Takim jest np. Ichneumon, zwany potocznie szczurem Faraona.

O tem zwierzątku — mało zresztą znanem szerszemu ogółowi — mogę coś niecoś powiedzieć, a czynię to tem chętniej, jako wyraz uznania dla jego zalet wielorakich, a przedewszystkiem dla jego cnót towarzyskich, co go czyni prawdziwym przyjacielem człowieka, a nieocenionym dla samotnika.

— — — — — — — — — — — — — —

Jedną z odmian Afryki środkowej, t. zw. Mangustę, „Herpestes gracilis", trzymają po domach, nie tylko ze względu na szczury, którym to zwierzątko potrafi zalać sadła za skórę, ale także dla jego pięknego wyglądu — a przedewszystkiem, że daje się bardzo łatwo oswoić.

Jest ono wielkości sporego kota, nosi brunatno-szare, puszyste futerko, z również puszystym długim ogonkiem. Ma mordkę wydłużoną, o śpiczastem zakończeniu — na podobieństwo szczura, szczęki pełne ostrych zębów — i czarne, paciorkowate — ciekawe oczy.

To wróg zajadły nie tylko szczurów i myszy, ale wszelakich jadowitych gadów i owadów.

Tępi karakony, skorpiony, ohydne wielonogi, węże, myszy i szczury. Te ostatnie, gdy Mangusta w domu, nie mogą się ruszyć ze swojego ukrycia. Ma ich ciągle na oku — a jest niezmordowana. Przez całą noc nie spocznie ani na chwilę. Drepcąc bezustannie z kąta w kąt — opatruje wszystkie miejsca, skąd zwykły wychodzić na żer. Coprawda nie łatwo jej przychwycić tego gryzonia, który jednym susem znajdzie się na ścianie, a potem zaszyje

[1]) hobby — konik (pasjonowane zajęcie).

w strzechę, ale też nie prędko stamtąd wyjdzie, bo Mangusta czuwać będzie w pobliżu — długo i bacznie nie pozwalając mu ruszyć się z miejsca. Że zaś takie ciągłe szachowanie nieprzyjaciół gorszem jest dla nich, aniżeli rzeczywiste niebezpieczeństwo, to widać z tego, że tam, gdzie trzymają obłaskawioną Mangustę — szczurów nie wiele.

Zwierzę to, gdy się stanie przyjacielem człowieka, chodzi za nim jak pies — upominając się ciągle o pieszczoty. Obejścia, na którem się wychowało, nie opuszcza. W nocy stróż nieoceniony. Gdy się coś podejrzanego ruszy, Mangusta już tam jest. Wydając skrzeczący głos: — cie! cie! cie! cie! — tak długo tam się kręci a piszczy, aż to coś nie umknie, albo zostanie przychwycone.

Ma ona jednak swoje wady — jest bardzo ciekawa. — A przytem łakotniś przerwszorzędny. Po niestrawnym np. wężu, którego w nocy skonsumowała, przychodzi jej apetyt na coś delikatniejszego. Idzie więc panu swemu asystować przy objedzie. Pierwszy krok — to usadowić się na kolanach. Stamtąd można już lepiej wyczuć, co pan ma na talerzu. Gdy coś smacznego podrażni jej nosek — staje się niespokojną. Ciągłem cie! cie! cieciecie! — dopomina się o kęs. Gdy go dostała, wynosi się na chwilę, aby na uboczu ten smakołyk spożyć. Wraca niebawem znowu na kolana, chrząkając z zadowolenia — i upomina się o drugi. I upominałaby się tak w nieskończoność, bo apetyt ma niezrównany, gdyby cierpliwość pana się nie wyczerpała i nie dostala po skórze.

Oburzona umyka i niby się kryje. Ale to tylko finta. Zaledwie pan i służba odwrócili się, lub odeszli na bok — jest zpowrotem. W mig znalazła się na krześle, z krzesla na stół — a tam na półmisku reszta pieczonej kury. Nie namyśla się długo, bo mogliby zobaczyć... ściąga kurę — i w krzaki...

Najulubieńszym dla niej przysmakiem są świeże jaja. Gdy dostanie jajo, toczy je jakiś czas po ziemi wśród radosnego rechtania. Potem stara się z niem zbliżyć do jakiego stałego przedmiotu. Obróciwszy się doń tyłem — chwyta jajko w przednie łapki — i z rozmachem — pomiędzy tylne nogi o ten przedmiot uderza. Oczywiście jajo kurze rozlatuje się — ale to nie psuje jej humoru, bo wylizuje skorupki, i to co wyciekło na ziemię — najdokładniej.

Siła, z jaką Mangusta rozbija jaja ptasie, każe przypuszczać, że w stanie dzikim daje radę o wiele twardszym jajom krokodyla.

— — — — — — — — — — — — — —

Na faktorji w Szamu mieliśmy kilkakrotnie Mangustę .. ostatnia, zwana „Trick“ — chowała się na naszem obejściu przeszło dwa lata. Niejeden zabawny kawał tego miłego psotnika mieliśmy sposobność do zanotowania. O zmyślności i przebiegłości tego zwierzątka — może zaświadczyć następujące zdarzenie.

Jednego dnia po drugiem śniadaniu, a jadaliśmy w altanie, udaliśmy się z kolegą Kazimierzem Stebleckim na werandę domu, aby tam odbyć na leżakach zwykłą drzemkę południową. Służba pozbierała zastawę ze stolu i udala się do kuchni. Na stole nakrytym serwetą, pozostawili jednak słój z „picklesami“[2]). Byl to masywny słój szklany, z takimże korkiem, który szczelnie go zamykal.

[2]) pickles — korniszony.

Podczas śniadania „Tricka“ nie było, co mu się rzadko trafiało. Nie troszczyliśmy się tem wcale, bo wiedzieliśmy, że lubi on we dnie przespać się gdzieś w ukryciu i że zjawi się prędzej lub później po swe jajko. I zjawił się.

Gdyśmy się już ułożyli na leżakach — usłyszeliśmy jego chrząkanie. Po chwili odezwał się już z altany. Swoim zwyczajem skoczył na krzesło, a stamtąd na stół. Brak jakiegokolwiek jadła, o którem. może śnił niedawno, musiał go srodze podrażnić. Rechtał niecierpliwie, obchodził słój ze wszystkich stron, wspierał się na nim przedniemi łapkami, skrobał po szkle — ale nie mógł wymiarkować, coby się tam mieściło. Zapewne najbardziej go intrygowała czerwona papryka, w której może kawałek mięsa surowego upatrywał. Niestety — mimo przykładania nosa do szkła, niczego się nie dowiedział. Wreszcie — jak się zdawało — zniechęcony zeskoczył ze stołu. Obserwowaliśmy to wszystko z werandy i byliśmy pewni, że na tem się skończy.

Ledwie jednak przymknąłem oczy, przygotowując się do snu — gdy słyszę brzęk szkła i głośne rechtanie „Tricka“. Oczy moje pobiegły znów w kierunku altany. Nasza Mangusta zwija się po stole, drapie zaciekle pazurami po obrusie i rechta jakimś zmienionym głosem. Naraz, jak oparzona, zeskakuje na ziemię i zmyka w krzaki.

Idziemy z Kazimierzem do altany.

Obrus mokry, pozwijany... Słój stoi, gdzie stał — ale pęknięty. Małą szczeliną wysącza się ocet na zewnątrz. Nie może się nam pomieścić w głowie, z jakiej przyczyny pękł słój, dość zresztą gruby, względnie ktoby go rozbił, gdy poza „Trickiem“ nie było żywej duszy w pobliżu. Dopiero po bliższem oglądnięciu słoja, dostrzegliśmy na szkle ślady uderzenia czemś twardem. Przy dalszych poszukiwaniach, natrafiamy we fałdach obrusa na kamyk, wielkości laskowego orzecha... Corpus delicti!...

Kazimierz w śmiech... — To „Trick“! widziałem z werandy jak tyłem przysadzał się do słoja, i jakby się do niego zamierzał, ale nie przyszło mi nawet na myśl, że może mieć kamyk w łapkach... To on go sobie w tym celu przyniósł...

Uśmialiśmy się z tego serdecznie — wyobraziwszy sobie zdumienie „Tricka“, gdy po rozbiciu słoja — poczuł ostry ocet na swoim nosie. Że było to jego sprawką, świadczyło i to, że w obawie kary — nie pokazał się nam aż do wieczora.

Gdy co przeskrobał— ukrywał się zawczasu; wychodził na widownię, gdy sądził, że gniew jego panów już przeminął.



MANGUSTA, MUNGOS ICHNEUMON *L.*

A. GÖTZ-OKOCIMSKI

REFLEKSJE

CZŁOWIEK UCZY SIĘ WTEDY, gdy jeszcze nie docenia wartości nauki, a żałuje zazwyczaj, skoro już jest dorosły, że nie pracował, jak był swobodny, młody i rozporządzał czasem. — Podobnie i z myślistwem.

Jako młody chłopak biegałem po górach niby ptak, miałem spotkania, byłem zachłanny, niecierpliwy, łakomy na strzał — miałem dużo czasu, wolną głowę, mocne nerwy, nie używałem jednak tak i nie kąpałem duszy we wrażeniach myśliwskich w tym stopniu i w ten sposób, jakby to dzisiaj było, gdy niestety nie mam czasu wiele, gdy nerwy nie są tak spokojne, gdy strzał jest kropką nad „i“ epizodu, spotkania, czy wypracowanego podchodu. Mówię o rykowisku w górach. Mówię o tym niezapomnianym rewirze, który był przeszło 30 lat w rękach naszych, w który mój niezapomniany Ojciec wkładał całą duszę prawdziwego myśliwego i dokąd uciekał, ilekroć mu dokuczyli ludzie, czy sprawy ludzkie.

Dzisiaj, gdy piękny wrzesień nadejdzie, tęsknota zatarga uczuciem myśliwskiem i wspomnienia budzą się, tęsknota za zjawą gór naszych, potężnym rogalem, pokazującym się jużto jak duch we mgle zimnego poranku, jużto nakształt cienia w deszczową porę, jużto niespodziewanie w jasny dzień w swym wspaniałym majestacie królewskim.

A cóż to za dreszcz niezrównany, gdy taki cień, czy zjawa odezwie się głębokim rykiem, czy pomrukiem. Cóż za bodziec fizyczny i moralny, cóż za zryw do nowych trudów, wysiłków, choćby się przed chwilą było bezsilnym, wyczerpanym, złym na góry, na brak ścieżki, na jelenia co milczy, na śliską korę, na trudny przełaz przez wielki gruby pień jodły, zwalonej od wichru.

I mimo, że bywam co roku od lat kilku na rykowisku w nizinach, mimo, że widzę, słyszę i używam, wiem, że to nie to samo, że jeleń w górach słyszany, widziany, zdobyty, stokroć większe daje użycie myśliwskiej duszy!

Do tego myśliwy tęskni i to wspomina, skoro zmienione warunki życia nie dają możności dzierżawienia rewiru w górach.

Czemuż tak mało czyta się wspomnień z gór, tak mało koledzy piszą o tem co widzieli, co słyszeli w Karpatach?

Nie chodzi przecież o spotkania niezwykłe, ale o opisy tego codziennego trudu braci myśliwych, którzy mają to wielkie szczęście spędzania 14 dni września co roku w górach. Ten kto w górach był, rozkoszować się będzie nieliterackim choćby, prostym pamiętnikiem i odtwarzać przeżycia kolegi, a dla pokolenia młodzieży jakaż to nauka, wskazówka i zaprawa.

Oto są życzenia moje w dniu jubileuszu M. T. Ł. — Trzeba, ażeby jego organ „Łowiec“, obsługiwany był przez jak najliczniejsze pióra i pomieszczał jak najczęściej artykuły opisowe, dyskusyjne, fachowe, i spełnił w ten sposób swoje szczytne zadanie szerzenia kultury łowieckiej.



S. G.

„PRZYSCHŁO JAK NA PSIE“

DOSZEDŁ GO W BARŁOGU. Stary, wytrawny bywalec fuknął tylko, niewiedzieć czy ze złości, że takie nieduże psisko budzi go z drzemki, czy z powodu, że tak lichy wróg śmie go zaczepiać. Lecz to psiak natrętny; przyskakuje, chce szarpnąć, ujada przytem. Tego już za wiele!

Jeden błyskawiczny ruch głowy, biedne psisko zaskowyczało żałośnie i krwawiąc z pyska, odskoczyło; lecz głosi dalej.

Dzik zrozumiał, że ten psiak ściągnie na niego niebezpieczeństwo, więc rusza. Pies za nim. Zabiega to z tej, to z owej strony; dzik musi iść tam, gdzie pies chce; aż wreszcie szarpnęło coś dzika boleśnie w komorze i skończyła się jego świadomość...

„Chodź tu mój Asiu! chodź! pokaż-no co to takiego!“

Na szczęście rana dolnej szczęki nie groźna; ale w jaki sposób powstała? Dzik, — i tak nieszkodliwie?

Lewy kieł u psa złamany, wgnieciony w dziąsło, które już zdołało zrosnąć się ponad zębem. Pod szczęką torbiel wielkości jaja kurzego. Dzik chwycił go za dolną szczękę, pies szczęśliwym ruchem głowy zdołał uniknąć strzaskania szczęki, lecz kieł uległ wyważeniu, a uciśnięty przewód

ślinowy zamknął się i tak powstala cysta, wypełniona śliną. To wszystko dało się bez trudności usunąć.

Po kilku dniach, gdy zmieniałem Asiowi opatrunek, — za co zawsze w nagrodę cierpliwości dostawał kilka kawałków cukru — wszedł jego właściciel, p. Ż., jeden z ówczesnych czołowych naszych myśliwych. Chwalę łagodność i cierpliwość Asa.

„W istocie, to bardzo łagodna i cierpliwa psina“ potwierdza p. Ż. „ale gdy siedzi na dziku, to obchodzę zdala i udaję, że go nie widzę, bo wówczas gotów rzucić się i na mnie“.

„Przyschło jak na psie“.

— — — — — — — — — — — — — —

„Kolego! prędzej! hipodermokliza! kamfora! kofeina! Tętno bardzo liche. Cienko przędzie ten pies!“

Obok psa — niedużego mieszańca, coś i z boksa, coś i z setera, kto go tam wie! — w brudnej, czerwonej chustce, jego jelita. Dzik zrobił mu „laparotomję“. Po chwili pętle jelitowe, obmyte rozczynem soli kuchennej, odprowadzono do jamy brzusznej, dano hipodermoklizę (wlanie fizjologicznego rozczynu soli kuchennej pod skórę) i wstrzyknięto olej kamforowy z kofeiną. „Byleby żyw zeszedł ze stołu“.

Nazajutrz pies żyje; za tydzień biega po podwórzu.

„Przyschło jak na psie“.

W jakie dwa miesiące później przyjeżdżam na polowanie na dziki. Pies ten poznaje mnie; rzuca się ku mnie z oznakami największej radości. Właścicielowi jego (a także i mnie) łzy w oczach stanęły.

Najbliższy sezon myśliwski rozpoczął tenże sam Rex tem, że przyjechał pokazać mi kilka odsłoniętych przez dzika żeber. Znowu szycie „na wielką igłę“, znowu zmiany opatrunku wśród karesów ze mną i znowu...

„Przyschło jak na psie“.

I wiele innych podobnych, więcej lub mniej ciężkich „przypadków klinicznych“ po „udałych spotkaniach z dzikami“ mógłbym przytoczyć.

— — — — — — — — — — — — — —

Przeszło lat niemało.

Z was „Asy“ i „Rexy“ śladu nie ma.

A tylko czasem, gdy chwila nadejdzie... wiecie, ta chwila, gdy cisza swe bezszelestne skrzydła na bór położy, gdy cisza ta również i w duszy nastanie, wówczas (może to jednak cichutko sosny zaszemrały, wiecie, te sosny z nad Sanu?) coś się budzi, coś wstaje, coś się zbliża.

Płynie szereg drogich, świetlanych postaci. Wkrótce rozpoczyna się gon.

I wy zjawiacie się, Asy i Rexy.

Z krwawemi ranami.

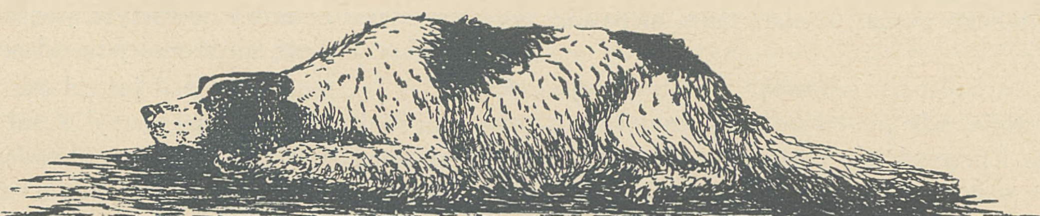
Wzruszenia głuszy wasz jazgot..

Nam rozkosz myśliwska, wam ból konania.

Nie, tak nie jest!

Wam wdzięczność i ciche wspomnienie i żal. Zaszumią bory, niosąc wam dank myśliwski, a w duszy myśliwca potężny akord bolu zawtóruje.

Łza wspomnienia nie przysycha *„jak na psie“.*



GUERTLER WŁADYSŁAW

ZEMSTA BORSUKA

(Opowieść oparta na autentycznem zdarzeniu z przed lat czterech).

JAŹWIEC TEN BYŁ WTEDY MŁODY, bo z marca i jeszcze mały, gdy mu źli ludzie zabili rodziców. Cudem sam ocalał, uciekłszy w czas i zaszywszy się głęboko w ciernie i trawy. Doskonale pamięta ów dzień trwogi i ciężkiej krzywdy. — Był maj. Słońce świeciło i grzało, ptaki pogwizdywały przeciągle, to znów, jakby się swarząc, skrzeczały niecierpliwie, kwiaty pachły balsamicznie, a on leżał w ciepłym piasku z rodzeństwem i wygrzewał się. Było mu błogo... Rodzice mieli nadejść niebawem.

Naraz robi się w lesie dziwny szmer, za chwilę rośnie już w gwar i zaraz wysuwają się z krzów dwa psy straszne i ukazują się dwaj, jeszcze straszniejsi ludzie. Małe borsuczątko chciało do zbawczej jamy; pomknęli ku niej brat i siostra, ale psy odcięły im drogę...

Więc odwrót, ucieczka i może ratunek. Jemu się uda-

ło. Niedostrzeżony uszedł i dobrze się ukrył. Ale za resztą wszczął się pościg. Dziki, brutalny.

Patrzał ze swej kryjówki i widział, jak brat i siostra ginęli marnie w szerokich i krwawych psich paszczach. Małe ciałka, okryte skłębioną sierścią, drgały konwulsyjnie...

Ale nie koniec złej doli... Nadbiegli rodzice i uderzyli odważnie na wrogów. Zaskoczone najpierw nagłym atakiem i srodze pocięte psy, cofnęły się ze skowytem, podwijając ogony. Wtedy okropni ludzie pozdejmowali ze siebie jakieś dziwaczne długie kije, przyłożyli do oka i zagrzmiawszy z nich srogo, zasypali obrońców gradem pocisków. Pod ich uderzeniem padli śmiertelni rażeni...

Nikt z borsuczej rodziny nie pozostał, zdawało się, przy życiu. — Nieprzyjaciel, nasyciwszy swą żądzę krwi, objuczony zdobyczą, odszedł z triumfem.

— — — — — — — — — — — — — —

Cudem ocalony sierota siedział cicho i długo w ukryciu, nieprzytomny z przerażenia. Głód mu dokuczał, pragnienie paliło. Życie dopominało się o swoje prawa.

Ruszył więc w drogę, pod osłoną nocy, na długą tułaczkę, na samodzielny już żywot i własny rachunek.

Miejsce tragiczne postanowił opuścić na zawsze i osiąść, jak najdalej od niego, choćby na końcu świata. Maszerował prawie bez wytchnienia. Po drodze karmił się, czem mógł: korzonkami, grzybami, glistami; tłuste pędraki, chrząszcze, czasem żaby, jajka ptaków w gniazdach znalezione, służyły mu również dobrze. I jeden młody zajączek uległ smutnemu przeznaczeniu. Uchodząc, borsuk żył jakoś, rósł i nabierał doświadczenia.

Wreszcie miał już dość włóczęgi i podróży. Osiada w zacisznej dąbrowie, pełnej żołędzi. Będzie je chrupał.

Miejsce było wymarzone. Gęste jałowce i świerki, ścielące nisko swe gałązki i płożąca się po ziemi tarnina, zapewniały mu swobodę ruchów; użyczą też w czasie niebezpieczeństwa koniecznej kryjówki, w skwarne zaś południe — chłodnego cienia. Znalazł także niebawem wygodną jamę.

O, bo ona, to najlepszy schowek i świetne miejsce dla spoczynku za dnia, gdy po całonocnem chodzeniu, zapragnie wypocząć i przespać się w spokoju. A on spać lubi! Śmiecie, które w norze znalazł, usunął czyściutko, bo czystość borsuk miłuje; chodnik pogłębił i wygrzebał nawet osobną komórkę, przeznaczając ją na sypialnię. Radził mu tak właśnie uczynić niezawodny, odwieczny instynkt.

Mając ciszę, spokój i obfitość pożywienia, prowadził nasz borsuk żywot zadowolony i szczęśliwy, zapominając jakoby o niedawnych przejściach, których zarysy zacierały mu się zresztą w pamięci.

Zagospodarował się też przezornie na przyszłość i na wyczuwaną podświadomie zimę, która nadejść już wkrótce musiała i której się obawiał trochę. Więc naznosił świeżego mchu, suchych liści, miękkiej trawy, piór ptasich i wszystkie te cenne materjały umieścił w sypialni, formując tam z nich ciepłe łoże.

Tymczasem wyrósł zupełnie i utył. A warstwa tłuszczu przyda mu się ogromnie wtedy, gdy snem zmożony, schowa się w ciepłej komorze, owinie mchem i pierzem i zaśnie, niepomny na nic, na długo...

Mróz siarczysty mu nie dokuczy, ani wiatr zimny dosięgnie.

— — — — — — — — — — — — — —

Zdziwiło go niezmiernie, gdy wracając raz do swego home'u nad ranem któregoś dnia wrześniowego, obaczył przed wejściem stwór całkiem do siebie podobny. Siedział skulony na ziemi, pilnie nasłuchując. Zatrzymał się i on w bliskiej odległości. Badał i poznawał. A już oddawna tęsknił za towarzystwem.

Każde życie, pędzone w samotności, jest, jak wiadomo, smutne i przykre. — Ucieszył się zatem swem odkryciem. Zamruczał przyjaźnie i „dyndał" przed siebie powoli, jakby z namysłem, zapewniając przybysza już zdala nosem, oczami, uszami, że nie żywi do niego żadnych zgoła wrogich zamiarów.

I cel osiągnął. Przybłęda nie drapnął. Odwrócił się jeno, jeszcze się bardziej zniżył do ziemi i uśmiechnął się nawet.

Lody zostały przełamane. Zaczęło się wzajemne obwąchiwanie i witanie. Ku swej wielkiej radości stwierdził gospodarz, że nowy towarzysz jest damą i to piękną, dorodną, chociaż nieco mniejszą od niego.

A jak mocno pragnął już od dni wielu jakiegoś związku i jak o płci pięknej marzył! Czuł się na siłach. Tęsknota sama przyszła. Więc wprowadza drogiego gościa do mieszkania, pokazuje przepych w sypialni i zaprasza do snu... Propozycję przyjęto wdzięcznie i radośnie.

Ale we wrześniu nie pora na gody, które minęły i przyjdzie na nie kiedyś czas. Oboje są jeszcze bardzo młodzi. Pozostaną tylko przyjaciółmi. Będą obok siebie mieszkali, razem chodzili na nocne wyprawy, pomagali sobie wzajemnie, a później... kiedyś w czerwcu, znajdzie się sposobność na miłość...

— — — — — — — — — — — — — —

Odtąd szło życie już raźniej o wiele. Ileż to nocy przepolowali, dzieląc się zgodnie zdobyczą, ile ciekawych przygód przeżyli! Sentyment wzajemny rozrastał się w obopólną adorację. Zdawało się im, że istnieć bez siebie nie będą mogli...

Młoda pani niedość, że wspólne mieszkanie staranniej jeszcze opatrzyła, lepsze w niem zaprowadzając porządki i wzorowszą czystość, ale nadto okazała się zmyślniejszą w wyszukiwaniu jedzenia, szerszą miała inicjatywę i doskonalszy węch. A instrument ten w życiu borsuków nader ważną odgrywa rolę. Żaden pędrak, choćby się schował jak najgłębiej, ani podziemne gniazdo myszy, żabka, czy też jajko bażanta, wreszcie zaspany zajączek, nie uchodziły nigdy jej ostremu powonieniu. Łowiła w lot wszystko i dzieliła się z przyjacielem sumiennie łupem wszelakim.

Pod działaniem obfitej karmy, tak się oboje wypaśli, że już ledwie chodzili. — Brzuchy dotykały ziemi; długie zaś pazury grzęzły głęboko w piasek i błoto, zdradzając może wędrowców przed chytrem okiem dwunożnych wrogów. Lecz młoda para, w dobrobycie pogrążona, nie myślała o tem.

— — — — — — — — — — — — — —

Zaczęła się smutna i zimna jesień. Liście z drzew opadły. Mroźny wicher je porywał i roznosił po rozłogach. — Wszelkie stworzenie boże szukać poczęło zacisza i kryć się przed chłodem. Czas nadszedł, by i borsuki zastanowiły się nad swem bezpieczeństwem.

Stały się teraz jakieś niespokojne i dziwnie nerwowe. On wyszedł raz przedwcześnie wieczorem na przechód, skorzystawszy z cieplejszego dnia. Nie usłuchał przyjaciółki, która mu radziła mądrze, by poczekał do zmierzchu. Ruszył i błąkał się bez celu po krzakach. Wysunąwszy się na otwartą polanę, zauważył z przerażeniem, że patrzą na niego drapieżne oczy człowieka, takiego samego jak ten, który ongiś zabił jego rodziców. Dobrze zapamiętał sobie sylwetę. Więc skręcił na miejscu i pomknął strzałą do swej nory. — Miał szczęście, że go w ucieczce osłaniały wysokie trawy, schował się w niej głęboko. Zdyszany, z drżącem sercem, opowiedział o tem czuwającej towarzyszce. Uradzili ani się ruszyć z jamy przez kilka dni i nocy; przeczekać! Dotrzymali umowy.

Ale dobrowolna ciemnica długo trwać nie mogła, zwłaszcza przed snem zimowym. Uczucie dojmującego głodu wypędzało z ciepłej budy. Wyszli zatem późnym wieczorem. Po raz ostatni chyba, bo zmorzy niebawem sen twardy i długi...

Na żerowaniu zeszła noc cała. Nasyciwszy głód i pragnienie, wracali powoli, ostrożnie przed świtem do domu. Najpierw ona...

Już widziała wejście do jamy. Ledwie kilka kroków dzieliło ją od niej..., gdy nagle rozległ się huk straszliwy i zwierzę padło bez życia, ani łapką nie drgnąwszy. Tego on nie spostrzegł, jako że widok zasłaniał mu gęsty krzak, a na strzał nie zwrócił dostatecznie uwagi. Więc kroczył powoli dalej. Obaczywszy jamę i o zgrozo, leżące bezwładnie ciało współmieszkanki, sparaliżowany tym widokiem, przystanął na oczymgnienie. W tem nowy grzmot rozbrzmiał i on sam ciężko ranny padł na trawę. Ratując resztki życia, starał się doczołgać do otworu...

Naraz staje nad nim długi cień. Wściekłe z bólu i rozpaczy zwierzę rzuciło się na wroga. Chęć pomsty i wrodzony instynkt walki doszły do głosu... Może dosięgnie napastnika zębami, ugryzie, przestraszy i odpędzi...

Gdzie tam! Prześladowca podnosi drąg stalowy, błyszczący, chwyta za cieńszy jego koniec i wali grubszym o jego głowę. Uderzenie straszne... Mroczy... Jednak resztką świadomości chwyta zamierający słuch nowy grzmot... Cóż to?

Człowiek, wróg śmiertelny, człowiek prześladowca, wali się, jak długi na ziemię, nieżywy... obok martwych swych dwóch ofiar...

Okazało się, że chcąc dobić borsuka, uderzył go kłusownik łożyskiem strzelby, ale w tej chwili odciągnięty nieopatrznie kurek spadł, broń wypaliła i cały nabój z drugiej lufy trafił w ludzkie piersi...

Gasnące oko borsuka radowało się przez moment widokiem pomszczonej krzywdy.

Rzeszów, w kwietniu 1936 r.

EDWARD SKOWROŃSKI

„KORA"

MUSZĘ PANA ZAZNAJOMIĆ z memi psami, ale właściwie z „Korą", bo „Juno", jej córka, przeważnie na łańcuchu.

— „Kora! Kora!" chodź tutaj! — zawołał stary Eggebrecht. — Jak duch bezszelestnie zjawiła się „Kora" w drzwiach, wiodących do kuchni, oblizując zarosłe fafle, oblepione resztkami serwatki i ziemniaków.

— Niech jej pan da kawałek chleba, — „Kora" weź. — „Kora" stała już przy mnie i lekko wzięła z ręki podany chleb.

Takie było pierwsze spotkanie i zaznajomienie z przyszłą towarzyszką polowań, która razem ze swoim panem, leśniczym Eggebrechtem i jego córką Hedwig, stanowić miała jedyne towarzystwo w czasie mego dwutygodniowego pobytu w B.

Eggebrecht, dawny niemiecki „Hegemeister", były podoficer gwardyjskiego pułku piechoty, prawy skrzydłowy drugiego plutonu, żołnierz 70/71 roku, rzeźko nosił na swoich strzelistych, jak topola, barkach 9-ty krzyżyk. Pięćdziesiąty pierwszy rok pracował od elewa w tym samym rewirze, znał każde drzewo, każdy kamień, ale jak mi się zwierzył w trakcie rozmowy, nie bardzo się nadaje do podprowadzania na rykowisku, bo mu kości w stawach tak trzeszczą, że zwierz się płoszy.

Będąc zwolennikiem samotnego podchodu, nie bardzo się tem martwiłem, zresztą „Kora“ miała zastąpić przewodnika w puszczy i stać się niezapomnianą przyjaciółką. Lata dzielą mnie od chwili, którą opisuję, dużo przeżyć myśliwskich mnie od niej oddziela, ale nieraz w myśli staje jak żywa, niezapomniana „Kora“.

Paskudne to było na pierwsze wejrzenie psisko. Stara, zgórą 10-letnia grifonka, z domieszką szorstkowłosej krwi niemieckiej, o sierści koloru zwiędlych wrzosów, wytartej, kudłatej, zdaje się że nigdy nie czesanej, posiadała za jedyną ozdobę głębokie piwne oczy, z pod groźnych brwi poczciwie patrzące na świat. — Ale ile za to cnót łowieckich, — można było niemi obdarzyć całą psiarnię.

Rykowisko było już w pełnym toku, a właściwie dobiegało końca. Długo w noc gawędziłem ze starym Eggebrechtem. Chciałem zaznajomić się z warunkami rewiru, jeleniami, ich przechodami i stanowiskami najsilniejszych byków i t. p. — Staremu rozwiązał się język, objaśniał wszystko szczegółowo na planie gospodarczym puszczy, a z godziny na godzinę zacieśniał się między nami węzeł obopólnej życzliwości i tej nieokreślonej przyjaźni, która tak silnie potrafi łączyć prawdziwych myśliwych, bez względu na wiek, stanowisko społeczne i narodowość. Popijaliśmy grog, zaprawiany gęsto prawdziwym rumem „Negritta“, przywiezionym z zagranicy i paliliśmy przednie „importy“. Ale i pod stołem odbywał się subtelny flirt. „Kora“, porzuciwszy pierwotną nieufność i obwąchawszy ubranie myśliwskie, buty, ręce, zajadała już drugą oryginalną bruświcką „Thewurst“, nieustannie trącając nosem „o jeszcze“, a z mordy ciekła jej ślina całą rzeką. Wszystko to działo się w tajemnicy przed Eggebrechtem, wyznawcą obostrzonej przez siebie tresury „Oberländera“, bo już w ciągu wieczora parę razy kopnięciem ekspedjował „Korę“ do kuchni.

Czas było iść spać, kanapa zaścielona; pożegnałem się z Eggebrechtem. „Kora“ próbowała ulokować się na kanapie, ale mimo moich próśb, Eggebrecht wyrzucił ją na pole. Widać nie dowierzał nam obojgu, patrząc na spustoszenia wyrządzone w przywiezionych zapasach, z których i on chciał także skorzystać, a które były na najlepszej drodze do zniknięcia przy iście leśnym apetycie „Kory“.

Dobrze przed świtem byliśmy w puszczy. Skonstatowałem, że miał rację Eggebrecht, gdy narzekał na swoje stawy artretyczne. Trzeszczały i chrupały, że aż ciarki po skórze chodziły. Trzeba było nielada siły, by opanować nerwy przy tym żywym ksylofonie, wygrywającym za każdym krokiem taniec szkieletu. Widziałem, że w tym stanie rzeczy niema mowy o podchodzie, orjentowałem się więc tylko w lesie przy pomocy Eggebrechta i planu lasowego, zapamiętywując ważniejsze punkty w terenie. Towarzyszyła nam, ma się rozumieć, „Kora“, a Eggebrecht, chcąc wynagrodzić nieudany podchód, rozpowiadał o „Korze“, jej mądrości, pełni tresury i przewag nad rówieśnicami psiego rodu. Rzeczywiście suka zdumiewała inteligencją, może też i sama dokładała starań, by egzamin wypadł jak najlepiej, pewna nagrody — bo tam w domu, leśniczówce, przecie był cały plecak, wyładowany pięknie pachnącemi wędlinami. Umiała wszystko, co przepisuje egzamin na psi doktorat. Odszukiwała w labiryncie wchodowych tropów jelenich zimny trop wychodowy byka, którego śledziliśmy, pilnowała pozostawionego plecaka swego pana, nie dając go dotknąć, odszukała i zaaportowała naumyślnie przed kilku godzinami zgubioną przezemnie chustkę do nosa i t. p.

Koło 9-tej rano Eggebrecht przywiązał „Korze“ kartkę do obroży i kazał wrócić do domu, rozkazując, by przyniosła śniadanie do lasu. „Kora“, ociągając się trochę i parę razy oglądając za siebie, pobiegła, a my z Eggebrechtem poszliśmy dalej, nie mogąc nagadać się do syta o jeleniach. Po dobrej godzinie przybiegła „Kora“, niosąc zawinięty w pergaminowy papier pakunek i siadła przed swoim panem. Eggebrecht zaproponował mi odebranie tegoż, lecz „Kora“ spojrzała tak złym wzrokiem na wyciągniętą rękę, że wolałem nie ryzykować. Eggebrecht, zadowolony z egzaminu, który naprawdę świetnie wypadł i z wonnego cygara — zaproponował, bym sam chodził na podchód, a za każdym razem poszle po mnie sukę, która zaprowadzi do domu. Widocznie i ja zdałem w oczach Eggebrechta, ustny narazie, egzamin z „Hirschgerechtigkeit“. — Tak dumni z siebie wracaliśmy w trójkę w największej zgodzie do leśniczówki na „Königsbergerklopsen“, rodzaj zrazów w szarym sosie i specjalnie przezemnie u Hedwig zamówione „Kaiserschmarren mit Preiselbeeren“.

Szybko po sobie następujące i mijające dnie samotnej wędrówki w rewirze, w towarzystwie „Kory“, przynosiły coraz to inne dowody jej umiejętności i coraz bardziej nas z sobą zaprzyjaźniały. Właściwie wszystko robiła „Kora“. Prowadziła po lesie, prowadziła do domu, odszukiwała mnie na rozkaz Eggebrechta, gdy sam wałęsałem się ze strzelbą po rewirze. Nocą, gdy wracałem do domu, „Kora“, która zwykła prowadzić w dzień na parę kroków przedemną, znikała z widoku, sumiennie patrolując przedpole drogi — w obawie przed kłusownikami, jak opowiadał Eggebrecht, rzecz, której się sama nauczyła, gdy przed laty kłusownik strzelił z zasadzki i ranił Eggebrechta. Odszukała wcale dobrego czternastaka, strzelonego przezemnie. Strzeliłem go bez „Kory“ parę dni później na rannym podchodzie, lecz chcąc zrobić „Korze“ przyjemność, nie szedłem za postrzałkiem, który kilkadziesiąt kroków od miejsca strzału utonął w morzu kwitnącego wrzosu. Czekałem parę godzin, gdy wreszcie w południe nadbiegła „Kora“, przysłana przez Eggebrechta i zachęcała mnie do pójścia do domu. Wziąłem „Korę“ na rzemyk od Mausera i przyprowadziłem na miejsce strzału. Suka obwąchała dokładnie miejsce, zaznaczyła sierść, obciętą pociskiem, pociągnęła za rzemień i prowadziła do postrzałka, spokojnie znacząc każdą kroplę farby, znalezioną na tropie.

Miałem z nią tylko kłopot, bo stanąwszy przy jeleniu, nie chciała pozwolić zbliżyć mi się do niego i broń Boże dotknąć. Mimo kilkudniowej przyjaźni miała swoje zasady, od których odstąpić nie mogła, tę swoją wielką obowiązkowość, wyssaną z mlekiem matki, odziedziczoną w krwi przodków. Musiałem wziąć „Korę“ na ręce, odnieść od jelenia na kilka kroków, przywiązać do drzewa, kazać pilnować strzelby dla odwrócenia uwagi, by spokojnie, wedle przepisów kunsztu łowieckiego zabrać się do „czerwonej roboty“.

Cel mego przyjazdu do B. został osiągnięty. Należało wracać. Zostałem jednak jeszcze parę dni dla „Kory“, by się nią nacieszyć. Czas naglił, a niesporo było wyjeżdżać. Wiedziałem, że choćbym miał kiedy wrócić do tej uroczej, licznemi jeziorami poprzerzynanej, pomorskiej kniei, nie zastanę tam ani Eggebrechta, ani „Kory“. Stary miał zamiar jeszcze w zimie opuścić służbę i osiąść u syna w powiatowem mieście, „Kora“ z nim iść na łaskawy chleb.

Godzina odjazdu nieubłaganie nadchodziła. Niebo było pogodne, bez chmurki, jak ta nasza dwutygodniowa znajomość. Wrzosy płonęły ostatnim rumieńcem zaawansowanej jesieni, srebrne brzozy szczodrze sypały złotem swych liści, poważne sosny, skulone w sobie, ciemną zielenią oczekiwały nastąpić mających szarug zimowych. — Dzień był śliczny, spokojny, wymarzony, jak cały krajobraz.

Eggebrecht ofiarował się odwieść mnie na stację, „Kora“ doprowadziła do bramy leśniczówki, zostając jakby oniemiała na straży swego obowiązku.



KOMUNIKAT

Donosimy, że Wystawę trofeów myśliwskich i Konkurs fotografiki łowieckiej urządza M. T. Ł. w czasie od 5 do 30 września 1936, na Targach Wschodnich we Lwowie, łącznie z Wystawą lasu i Ochrony Przyrody. W tymże czasie odbędzie się Pokaz psów rasowych. Apelujemy do wszystkich myśliwych, by imprezę naszą, która będzie miała charakter ogólnopolski, obesłali jak najliczniejszemi eksponatami i przyczynili się w ten sposób do uświetnienia naszego jubileuszu. Bliższe informacje podamy w następnym numerze.

ODZNAKA JUBILEUSZOWA

do nabycia w biurze M. T. Ł.

„POJEDZIEMY NA ŁÓW"



Słowa i muzykę pieśni podaję podług Wacława z Oleska, Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego z muzyką instrumentowaną przez Karola Lipińskiego, Lwów 1833. Wersja ta, zwłaszcza jej część muzyczna, zasługuje na pierwszeństwo przed innemi. W. Z.

Pojedziemy na łów, na łów,
towarzyszu mój!
na łów, na łów, na łowy,
do zielonej dąbrowy,
towarzyszu mój.

Aż tam biegnie zając, zając,
towarzyszu mój!
puszczaj harty ze smyczą,
niech zająca uchwycą,
towarzyszu mój.

Pojedziemy na łów, na łów,
towarzyszu mój!
na łów, na łów, na łowy,
do zielonej dąbrowy,
towarzyszu mój.

Aż tam biegnie sarna, sarna,
towarzyszu mój!
puszczaj harty ze smyczą,
niechaj sarnę uchwycą,
towarzyszu mój.

Pojedziemy na łów, na łów,
towarzyszu mój!
na łów, na łów, na łowy,
do zielonej dąbrowy,
towarzyszu mój.

Aż tam biegnie sobol, sobol,
towarzyszu mój!
puszczaj harty ze smyczą,
niech sobola uchwycą,
towarzyszu mój!

Pojedziemy na łów, na łów,
towarzyszu mój!
na łów, na łów, na łowy,
do zielonej dąbrowy,
towarzyszu mój.

Aż tam biegnie panna, panna,
towarzyszu mój!
puszczaj harty ze smyczą,
niechaj pannę uchwycą,
towarzyszu mój.

A teraz się dzielmy, dzielmy,
towarzyszu mój!
tobie zając i sarna,
a mnie sobol i panna,
towarzyszu mój.

A kiedy ci krzywda, krzywda,
towarzyszu mój!
tobie siodło a mnie koń,
terazże się ze mną goń,
towarzyszu mój.

A kiedy ci krzywda, krzywda,
towarzyszu mój!
moja szabla a twój kij,
terazże się zemną bij,
towarzyszu mój.

Kiedyć jeszcze krzywda, krzywda,
towarzyszu mój!
twoje gardło a mój miecz,
twoja głowa pójdzie precz,
towarzyszu mój.

Niniejszy numer „Łowca" redagowali: Albert Mniszek i Witold Ziembicki.

O oszczędności

W dobie powszechnego kryzysu światowego idea oszczędności ma jeszcze większe znaczenie, aniżeli w czasach zwyczajnych. Ideę tę należy stosować we wszystkich dziedzinach życia naszego i powinna ona być przyjęta przez wszystkie warstwy naszego społeczeństwa.

Rozwiązanie kwestji kryzysu leży w rozumnem pojęciu oszczędności. Jeżeli określimy istotę oszczędności jako zasadę rozumnego i najbardziej celowego gospodarowania, to wtedy stanie się nam jasnem, że niema takiego gospodarstwa, w którem by można zasadę tę odrzucić.

Gdy w okresie naturalizmu oszczędność, jako zasada racjonalnego gospodarowania opierała się na korzyściach wyłącznie indywidualnych, to w okresie gospodarki opartej na pieniądzu, nabiera ona ponadto pierwszorzędnego znaczenia społecznego. — Możność zorganizowania oszczędności indywidualnych, odkładanych w pieniądzu, dają instytucje finansowe, które z drobnych oszczędności stwarzają wielkie kapitały i drogą kredytu pozwalają gospodarstwom publicznym i prywatnym na przeprowadzenie inwestycyj i pomnażanie krajowej produkcji

Gromadzone w ten sposób kapitały ożywiają życie gospodarcze danego miasta, podnoszą przemysł i handel i zarazem dają pracę rzeszom bezrobotnych. Aby jednak instytucje finansowe mogły spełnić swe zadanie w całości, to idea oszczędności i z niej wypływające korzyści tak dla oszczędzającego, jak i dla społeczeństwa, powinna znaleźć pełne zrozumienie u wszystkich obywateli.

Wpajanie zmysłu oszczędności wyrabia w ludziach siłę woli i hart ducha — uczy patrzeć trzeźwo na świat i walczyć z przeciwnościami. Z młodzieży, którą uczy się rozumnej oszczędności wyrośnie zdrowe społeczeństwo, na barkach którego państwo w potrzebie będzie mogło oprzeć swe podstawy. Stąd też śmiało możemy powiedzieć, że powszechność zasady oszczędności i jej rezultaty, wyrażające się w sumie wytworzonych w każdem społeczeństwie kapitałów, są miarą jego siły i kultury gospodarczej.

Oszczędzać należy zdrowie, gdyż ono jest podstawą życia. Oszczędzać należy czas, gdyż każda zmarnowana chwila jest już bezpowrotnie stracona. Oszczędzać należy wreszcie dobra materjalne w postaci przedmiotów codziennego użytku, jak odzież, książki i t. p., gdyż to przedłuża czas ich użyteczności.

Bogactwo nie jest nieodzownym warunkiem szczęścia i powodzenia, dobrobyt jednakże — to bardzo ważny warunek racjonalnego życia. Oszczędność stwarza nam podstawy do osiągnięcia dobrobytu. Dobrobyt jednostki jest podwaliną dobrobytu państwa, które zyskuje wówczas na sile i znaczenia w stosunku do sąsiadów.

Każdy oszczędzający bierze czynny udział w życiu gospodarczem narodu, przyczynia się do jego dobrobytu i podniesienia i niezależności politycznej. Oszczędność rozumna to sprawdzian pracowitości i obowiązkowości, to zwycięstwo nad zgubnymi nieraz nałogami. Oszczędnością zawsze dochodzimy do wytkniętego sobie celu. Należy więc z jednej strony celowo zaspokajać swe potrzeby, unikając marnotrawstwa, z drugiej zaś rozumnie je ograniczać przez wystrzeganie się rozrzutności. — Oszczędnością dążymy do poprawy bytu własnego i całej naszej rodziny i do zapewnienia sobie spokojnej przyszłości.

Na tej drodze trzeba nam tylko zrozumienia i wytrwałości — i chociaż jest nam bardzo ciężko, chociaż dochody nasze silnie się zmniejszyły — nie wyrzekać się troski o przyszłość, nie ustawać w gromadzeniu i pomnażaniu tych zasobów, które mają nam i naszemu społeczeństwu zapewnić trwały postęp i rozwój.

W ten tylko sposób spełnimy nasz obywatelski obowiązek.

MIEJSKA KOMUNALNA KASA OSZCZĘDNOŚCI WE LWOWIE ul. Wałowa 7-9

ODDZIAŁ I. ul. Grodecka 60 **ODDZIAŁ II. ul. Żółkiewska 75**

DYREKCJA

LASÓW PAŃSTWOWYCH

WE LWOWIE

organizuje polowania:

na głuszce
bażanty
rogacze
jelenie
dziki

oraz wydzierżawia tereny łowieckie na dogodnych warunkach

Zgłoszenia na polowania przyjmuje Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie, ul. Chorążczyzny l. 17, tel. 202-55, wzgl. wszystkie placówki „Orbisu“

Zarząd Dóbr i Zakłady Przemysłowe

ROMANA ŻUROWSKIEGO

LESZCZKÓW

SAMODZIAŁY

na ubrania sportowe

LODENY

BUNDY PODRÓŻNE

PELERYNY MYŚLIWSKIE

KURTKI ▪ HUBERTUSY

SKŁAD FABRYCZNY:

Lwów, Kopernika 4 Tel. 258-88



TREŚĆ NUMERU 6:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 70 zł., 1/1 str. 36 zł., 1/8 str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł. — Drobne ogłoszenia — płatne z góry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie 2 zł. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Zarząd Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego dla wpłat członkowskich: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44. Godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. — Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Administracja: Księgarnia Gubrynowicz i Syn, właść. A. Krawczyński, Lwów, plac Katedralny 9, tel. 228-81. — Oddział w Krakowie, ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50